

# Ilustracja Polska

we Francji

**Dena - Prix**

We FRANCJI . . . . . 1,5  
En FRANCE . . . . . frs. 1,5  
W BELGJI . . . . . 2,00  
En BELGIQUE fr. b. 2,00  
W HOLANDJI . . . . . 0,11  
En HOLLANDE guld. 0,11

**A D R E S**

Redakcji i Administracji:  
L E N S (Pas-de-Calais)  
101, Rue Emile Zola, 101

Nr. 227.

24-go grudnia 1939 r. — Le 24 Decembre 1939.

Rok IX.

## TAM... W OJCZYŹNIE ZNIEKANIEJ...

### Treść nr. 227.

#### W wigilijny wieczór.

Nowela.  
—oOo—

#### List z Obozu Wojska Polskiego.

—oOo—

#### Echa.

Obrazek z wojny.  
—oOo—

#### Jak polska łódź podwodna „Orzeł” przedarła się z Bałtyku do Anglii,

ścigana i ostrzeliwana przez okręty  
nieprzyjacielskie.  
—oOo—

#### Wieczera wigilijna w Cayoba.

Wrażenia z pobytu w Brazylii.  
—oOo—

#### Hitler w żelaznej klatce...

Osobliwe przepowiednie Nostrada-  
musa.  
—oOo—

#### Wojna gazowa przed 24 wiekami

przyniosła klęskę tym, którzy użyli  
gazów.  
—oOo—

#### Milion w złocie.

Odcinek bardzo ciekawej powieści.  
—oOo—

#### Osobliwości Watykanu.

Bezcenne skarby w murach stolicy  
apostelskiej.  
—oOo—

#### Wiersze Czytelników i Czytelniczek.

—oOo—

#### Tajemnicze sztuczki czarowni- ków murzyńskich.

—oOo—

#### Dla dzieci i młodzieży.

W sklepie z zabawkami. — Głosy  
ptaszec. — W tę noc Narodzenia.  
— Choinka.  
—oOo—

#### Humor.

Dowcipy wojskowe i świąteczne. —  
Pechowy instrument.  
—oOo—

#### Echa wojenne.

(Zdjęcia). Jeszcze jedna manifesta-  
cja angielsko - francuskiego sojuszu  
broni. — Braterski uścisk dłoni. —  
W niewoli angielskiej. — Pocałunek  
Prezydenta. — W ucieczce przed  
bombami sowieckimi. — Dziennika-  
rze niemieccy w siedzibie Ligi Na-  
rodów. — Obrazki z frontu. — Poza  
frontem wre praca. — Niechwalebny  
koniec niemieckiego pancernika —  
„Admiral Graf von Spee”.



Tam... w Ojczyźnie znękanej śnieg zasypał biały  
wyrwy, leje, mogiły i rumowisk zwały...  
i krajobraz roztacza się taki spokojny,  
jakby wcale nie było na Jej ziemiach wojny...

Cisza mroźna i śnieżna wsie, miasta ogarnia —  
piękno zimy!... a w sercach ludzka męczarnia...  
głód, chłód... lecz wiercie: Tak jak Boże  
Narodzenie,  
przyjdzie z jarzma niewoli Polski Wyzwolenie!

Czesław MONDRZYK.



# W wigilijny wieczór.

Nowela.



Mróz brał siarczysty.

Zamarznięty staw skrzył się milionami brylantów, na świętokrzyskich stokach uwieńczone puchową okiścią polyskiwały jodłowe lasy, po polach, wygonach, drogach, pomiędzy opłotkami domów bielili się cicho, intensywnie śnieg a na niebie stało wielkie, czerwone, grudniowe słońce.

Mróz brał siarczysty.

W niskich, słomianą strzechą krytych chatach, na maleńkich szybkach okien, w nocy wymalował swoje dziwaczne cienie. Wcisnął się natrętnie, nieubłaganie najmniejszymi szparami okien, drzwi, ciągnął się po mokrych ścianach, po skromnych sprzętach, zaglądał ciekawie do pustych garnków, stojących na zimnym kominie.

Bieda z nędzą tańcowała po olszańskich chatach. Jak cała wieś długa, wszędzie od wielu już tygodni głód szerzył swoje zęby. Niemcy zabrali niemal wszystko. Komu cośkolwiek udało się tak dobrze ukryć, że nie znaleźli, ten od czasu do czasu i sam się nieco lepiej z dziećskami pożywił a to i sąsiadów czym mógł obdarował.

I tak jakoś dzięki Bożej Opiece żyli.

Ale dziś jakoś ruch wielki, niezwykły, niecodzienny od samego południa w całych Olszanach się zaczął. I nie dziwota.

Wigilia przecież.

Tradycyjnym zwyczajem trza się godnie przysposobić na przyjęcie Pana. A to i izbę przyzwoicie wyprzątnąć wypada i upiec coś niecoś i ugotować na wilię. Nie ma tam bardzo i z czego, ale trudno, może się i jakoś zesztukuje. Wyciągali tedy ludziska z głębokich schowków dobrze poukrywane resztki i sposobili się na wilię jak mogli.

Gawrysiowa związała się jak w ukropie. Pod kuchnią wesoło buzował ogienek, a na rozpalonej do czerwoności blasze garnki prowadziły ze sobą tajemnicze pogwarki. Świeże, smakowicie pachnące strucle — z resztki mąki co jej psiwiały nie znalazły — już z pieca wyjęła, pierogi teraz ugniata a śpieszy się bardzo, bo kapusta już od dawna perkocze, a i kartofle do żuru też odcodzić już czas. Za dużo pracy jak na jedne ręce, za dużo. I robota jej jakoś nie idzie tak ochocho, tak składnie jak ongiś.

Bywało dawniej i pracy więcej na wilię i potraw suciej. A jednak chciało jej się popracować, choć zwykle i niewiele tknęła ze zmęczenia i trudu.

Pamięta łońskiego roku.

Tak jak i dziś pierogi robi, a ku

słonku często spogląda, bo czerwona kula już za bór się chowa, a tu roboty jeszcze huk. Stary coś tam koło stodoły spycha, żeby we wilię po próżnicy nie stać. Ninka z Kasią przy kuchni się kręcą, niby mocno pomagać chcą, a ukradkiem jeno rodzynki, a migdały chwytają i mak też dziwnie szybko z donicy znika. Widzi to dobrze Gawrysiowa i uciechę ma wielką. Wiadomo, dzieciśka na słodkie rzeczy łase. Łodzia z Władzią choinkę w kącie przystrajają, a on chodzi poważnie po izbie, czasem stanie przed oknem i patrzy w śnieżną dal, czasem coś zagada...

On — Żdzich — syn jej jedyny, najukochańszy...

W mieście, w gimnazjum przez kilka lat był. Mordowali się okrutnie aby było na czesne, na książki, na ubranie. Wiadomo, gospodarka ładajaka, a tu wciąż brać i dawać trza. Skończył wreszcie. Marzyła, że do seminarium pójdzie, księdzem zostanie, ale gdzie tam. Uparł się do wojska wstąpić. Prosiła, przedkładała — niestety nie pomagało nic. Ale jak pierwszego roku przyjechał w mundurze, dziarski, zgrabny, wyćwiczony, zapomniała o wszystkim i znów go kochała jak dawniej, całą pełnią matczynej serca.

A potem przyszła wojna.

Żdzich poszedł, tak jak poszli inni. I nie wrócił...

Spojrzała Gawrysiowa pod okno, potem na krzesło przy stole. Puste — jak martwe. Otarła ciurkiem lejące łzy, co jak groch na białe ciasto padały...

Gdzież on, chudziņa, gdzie? Może gdzie darniową mogliką przykryty i nic mu już więcej nie trzeba. Może nie wróci już nigdy, nie usiądzie przy wspólnym, wigilijnym stole, nie zagada, tak po swojemu, zadzierzyscie, po pańsku.

A jeśli żyje?

Ta myśl uporczywie trzymała się mózgu matki. Żyła prosto tą nadzieją, że jednak kiedyś...

A dzisiaj przecież wilia.

O Chryste!...

I Żdzich żył.

Przebrany za parobka, oprzątał bydlę w jednym z dworów, za Wisłą, sypiał wraz z innymi w oborze. Ale często wieczorem zniknął i nie wiadomo gdzie się podziewał. Ale raz fornale wypatrzyli, że okręża ogród, kluczy po za rzeczką i od tyłu zachodzi do dworu. Stara kucharka Marcela, mówiła raz, że dziedzic siedzi nieraz długo w noc zamknięty w gabinecie i choć nikt go tam niema gada coś i gada. — Wypatrzyli, że gada z parobkiem.

— Dziwny ci to parobek — myśleli — co z dziedzicem za pan brat na kanapie siedzi i herbatę, choć tam i bez cukru — pije.

Ale głośno nie mówili nic.

Aż raz znikł i parobek i dziedzic.

Pani chodziła smutna, zapłakana, ale nie odezwała się o tym nawet słowem. Służba nie śmiała się pytać.

Domyślali się jednak.

Chodziły słuchy, że gdzieś tam we Francji, tworzy się wojsko polskie. Szeptano sobie o tym skrycie, na ucho, jak o świętości jakiejś. I

chyba pan z parobkiem poszli na węgierską granicę, do tego wojska. Hej! mocny Boże, toczy i niejednego z nich chciał także, tam... Ale cóż... Dzieci wyzdychałyby z głodu, gdyby ich nie stało. Zresztą dziedzic raz mówił, że i tu się tak samo przydadzą. Kombinowali tedy po nocach, że jakby jeno tamci od Francji wzięli górę, to i oni choć cepów i wideł nie pożałują na niemieckie karki.

Tymczasem lepiej pysk trzymać, choć krew człowieka zalewa ze złości i czekać. Ale jak długo?

Niestety z zagranicy skąpe nadchodziły wieści.

Przed same Gody, dziedzic wrócił do swojego folwarku, wymizerowany, obdarty — sam. Nie przeszli granicy.

O parobku zaś słycho nie było.

Żdzich tymczasem powracał do domu. Myślał przeczekać wiosny i napowrót próbować szczęścia. Tłukł się tedy nocami przez bory i śniegi, omijając miasta i osady, spał gdzie się dało, jadł u dobrych ludzi, którzy i sami nazbyt nie mieli i z uporem, iście chłopskim, szedł naprzód. Do Olszan.

Zima tego roku była tęga. Mróz ścisnął już od początków grudnia, a śnieg uwalił po drogach zasy okrutne. Czyniło to drogę niezwykle ciężką, ale stwarzało przy tym stosunkowo duże bezpieczeństwo. Patrole szwabskie nie włościły się po drogach i lasach. Wiedzieli, że mróz i śnieg dokona bez nich ich dzieła.

Wstał mroźny wigilijny poranek gdy Żdzich po dwutygodniowej wędrówce znalazł się o pięć mil od rodzinnej wsi. Pięć mil w normalnych warunkach to bajka, ale dla sforsowanych nóg, wynędzniałego organizmu, po śniegu, na mrozie — to wieczność.

Znał tu każdą drogę, każdą wieś, każdy kamień niemal. To też kluczył zręcznie, omijał miejscowości niebezpieczne, nie nakładając przy tym drogi. Po południu pozostawało już tylko półtorej mili.

Zdąży na wilię... do domu...

Ale jakoś nogi poruszały się coraz wolniej, coraz ciężiej. Poczul, że jest śmiertelnie zmęczony i przeraźliwie wprost głodny. A mróz pod wieczór brał straszliwy. Wpijał się milionami igieł w plecy, ręce, nogi, przeżerał całe ciało aż do kości, zamrażał krew, serce, mózg...

Resztkami woli Żdzich włócił się naprzód.

Wokoło biel śniegu. Na drodze zaspę, wydmy i osypiska, po bokach bór w śnieżnej, puszystej szubie.

Biało — śnieg — mróz...

A nogi ciężą jak olów, mróz wpija się w piersi przy każdym oddechu, raniąc bolesnie każdy roztargany nerw. A śnieg ciągnie i kusi swą białością, swym puchem miękkim, ściele się pod nogami, w falistych, miłych liniach idzie w dal, w przestrzeń... bez końca.

Ach, runąć w ten biały, przytulny puch, zasnąć choć na minutę, sekundę, mgnienie...

Spać...

Powieki ciężą coraz bardziej, coraz silniej, zamykają się, zwierają, bolą...

A śnieg kusi i pociąga coraz mocniej, coraz tklawiej...

Świadomość zniknęła zupełnie,

rozplynęła się w tym białym śniegu, w tym straszliwym, nieubłaganym mrozie.

Przed napół zamkniętymi oczami Żdzicha, przesuwały się jakieś wizje, po boru coś woła, coś płacze a przed nim migoce nieśmiało jakiś ognik błędny, niesamowity... Co to?...

Aha, przecież dziś wigilia. Może zapłonęła pierwsza gwiazda, może świeczki na choince zapalają dzieci, może...

Ależ nie... Boże! co to?

Światło!?

Wyteża oczy, patrzy, czuje w sobie nagły przypływ krwi, energii, życia... biegnie...

Bór się skończył, a w głębokiej, nieckowatej dolinie przypadła w śniegu długa, kręta wioska.

Olszany.

Mrok gestniał i powoli wypełniał izbę. Zdawało się, że za chwilę spłynie jakaś świętość z nieba, by ukoić cierpiące dusze ludzkie.

Gawrys wniósł do izby duży snop kłosisłej słomy i ustawił go, jako tradycja każe w wschodnim kącie. Na środku stołu garstka siana, na niej bochen razowego chleba i biały jak ten śnieg opłatek.

Pierwsza — wigilijna gwiazda, rozbliżyła na granatowym tle nieba...

— Wigilia...

Ale Gawrysiowa jakoś ociąga się z podaniem wieczerzy. Ustawia talerze i miski tak powoli, zawsze jej nie pasuje, to znów czegoś brak. Otwiera więc i zamyka szafkę nic z niej nie wyjąwszy, a ku drzwiom co chwila spogląda, a nadśluhuje, wzdychając i pochlipując z cicha...

Lzy jej lecą ciurkiem, gdy mąż przeżegnawszy się szeroko łamie z nią opłatek, dławi się gdy dzieciśka całują go w rękę, szlochom wybuchają gdy...

Nagle... Znieruchomieli wszyscy...

Za oknem rozległ się przyspieszony tupot nóg po skrzypiącym śniegu, ktoś trzasnął furtką od ganka, potem drzwiami w sieni...

Buchnęły kłęby pary do izby, wychyliła się z niej postać obdarta, zsiadła od mrozu... Jedno oczy płonęły gorączką...

Żdzich!...

Zaszeleściła krucha biel opłatków...

Za oknem śnieg prosił coraz większy. Dzwony kościółka jęklawie wołały ludzi na pasterkę.

A im po raz pierwszy od wielu miesięcy było dobrze, cicho, rzewliwie, swojsko, błogo.

Jak ongiś.

Tetwar.

Wyciąć i starannie zachować

NINIEJSZY  
**BON**

udowadniający zakup nr. 227 „ILUSTRACJI POLSKIEJ” uprawnia Czytelnika do otrzymania wyższej zapomogi łobrowolnej, wypłacanej stałym abonentom „NARODOWCA” w razie śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku przy pracy — w myśl warunków, ogłoszanych ::: w „NARODOWCU” :::

# List z Obozu Wojska Polskiego we Francji

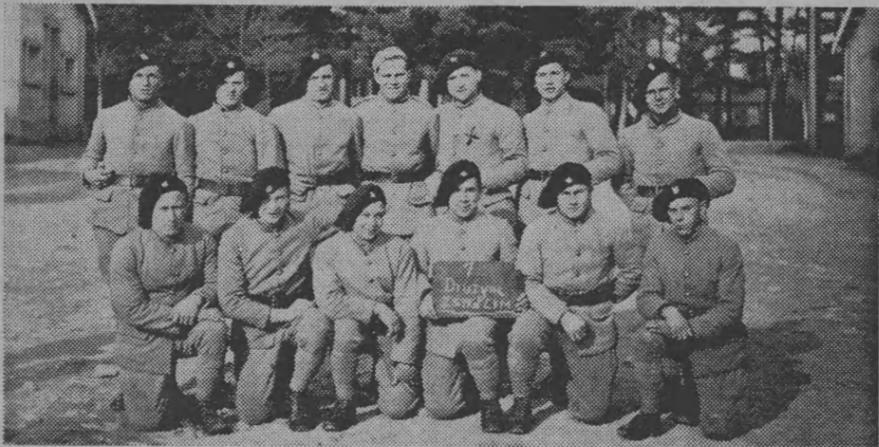
W grudniu, 1939 roku.

Cząsteczka żywej, niepodległej Polski odnalazła się i odradza w sercu dalekiej francuskiej prowincji, na ziemiach wolności, pod szarym niebem Bretanii.

Bez rozgłosu, natężeniem zwykłej, żołnierskiej codzienności kładzie się tutaj podwaliny nowej siły zbrojnej, tworzy armię, która podniósłszy zboczony krwią najlepszych synów Ojczyzny, sztandar świętej wojny przeciw zalewowi barbarzyństwa, jaki potopem, nie po raz pierwszy w historii Polski, ogarnął Jej ziemie — poniesie go znowu w bitwy i do zwycięstwa.

Ogromny Obóz, przed kilkoma tygodniami jeszcze bezludny i pusty, już dzisiaj tętni przemarszami kompanij w niebieskich mundurach, lasy poligonu okolicznego rozbrzmiewają echemi polskiej komendy, strzelnice huczą od wystrzałów broni maszynowej, której uczy się nowy żołnierz polski. Jeszcze wczoraj

legom. Ludzie wielkich stanowisk i wielkiej wiedzy stoją ramie w ramie z robotnikiem polskim we Francji, z wspaniałymi okazami górników i marynarzy, a zdarza się, że komendę nad nimi sprawuje podoficer Polak, weteran służby w Legii Cudzoziemskiej, który w bledzie Afryki lub w puszczech Tonkinu zapisał się jako wzorowy żołnierz i nosi odznaczenia za bohaterstwo. Klerycy i księża rzucili suknię duchowną, aby spraw kraj i jego wiary bronić odtąd w mundurze. Między takimi, którzy jeszcze nie wachali prochu znajdują się niejedni, którzy przeszli przez doświadczenie wojny z Niemcami w Polsce, którzy przebiwszy się przez pierścień wroga, opowiadają towarzyszom broni dzieje ostatniego, strasznego września w Polsce. Poprzysięgli sobie wrócić na tamtą ziemię i pomścić tę przeszłość, już nieodwołalną i wyrąbać a potem wspólnie budować



Wychodzący w obozie Armii Polskiej. — Oznaczony krzyżykiem — Antoni Wittek, znany kolarz emigracyjny.

przyszedli do obozu luźnymi oddziałami „cywilów” ze wszystkich stron Francji, ze wszystkich skupisk polskości na emigracji, z odległych zakątków Europy, a nieraz nawet z pozaeuropejskich miejsc zamieszkania. Zbratani tym samym losem i tą samą wolą służenia swojej sprawie z bronią w ręku — jutro już w karnych szykach maszerują na pole ćwiczeń, już się w takt równego kroku piosenka budzi na ustach, polska piosenka żołnierska. Żołnierski śpiew to echo żołnierskiego ducha. Posłuchajcie, jak śpiewają kompanie polskiego Legionu w Bretanii, aby w ich głosie odnaleźć wydzwięk nadziei i wiary w lepsze jutro. Bo wszyscy oni są tutaj świadectwem tego przykazania, jakie w nieszczęśliwej historii Polski tyle razy posiadało aktualność, silniejszą nad słowa, aktualność czynu i bohaterstwa całych pokoleń: Być zwyciężonym — i nie ulec.

Posłuchajcie w niedzielę po Mszy, jak żołnierze w obozowej kaplicy śpiewają wielką i patetyczną pieśń polskiego patriotyzmu: „Boże, coś Polskę”, a staną Wam w oczach łzy te same, jakie w oczach okolicznych mieszkańców Bretanii dostrzegliśmy nagle — mimo, że oni przecież nie rozumieją słów, mimo, że ze sprawą Polski stykają się po raz pierwszy w życiu, po przez to młode wojsko.

Wspólny los poczuciem wspólnego obowiązku zrównał tu najróżniejszych ludzi. Ambasador Rzeczypospolitej w Berlinie zamienił tytuł Ekszelencji na stopień strzelca z cenzusem i tekę dyplomatyczną na karabin, a służy przykładem dyscypliny wojskowej niejednym młodszym ko-

przyszłość, szczęśliwszą dla następnych pokoleń.

Armia z dniem każdym rośnie. Z dniem każdym bogaci się w sprzęt i doświadczenie. Instruktorowie francuscy, z których wielu mówi naszym językiem, współpracują z polskimi oficerami nad wyszkoleniem oddziałów według najlepszych sił i możliwości.

O postępach dokonanych w ciągu paru pierwszych tygodni, o przemianie różnorodnego surowca ludzkiego, ożywionego myślą służenia Ojczyźnie na materiał żołnierski, którego postawa już dzisiaj budzi zaufanie i już dzisiaj obiecuje spełnić swoje zadania do końca, przekonane się mógł osobiście Naczelny Wódz, General Sikorski, kiedy przybył pierwszy raz zobaczyć swoje wojsko. Znalazł w oczach i twarzach żołnierskich oddźwięk dla słów swoich, wskazujących Polskę, jako cel najwyższy obecnej służby. Defilowały przed nim karnie i z przejęciem pierwsze oddziały pułków polskich. Dokonywało się w tym spotkaniu Wódza z swoim żołnierzem symboliczne stwierdzenie osiągnięcia, najbardziej istotnego od chwili utworzenia nowego Rządu Polskiego na ziemiach Francji: osiągnięcia, jakie zawiera się w fakcie założenia podstaw zbrojnej siły Narodu, który nie przyjął klęski i nie przyjmie gwałtu, ani przemocy na swoich ziemiach, ale przeciw nim dźwiga, całą nieustraszoną wiarą w Zwycięstwo swej sprawy, jako w jedyną ostateczną możliwość dzisiejszych dziejowych wstrząsów, w których rozgrywka idzie o przyszłość wolności nie tylko naszej.

Aleksander Janta-Polczyński.

# ECHA.

Armaty przycichły i z głębi ciemnej izby zabrzmiał wyląkły głos.

— Naprawdę, widziałeś, jak ojciec uciekał?

— Mówiłem już mamie.

— I nie strzelali za nim?

— Ciemno było, tłok i rozbijali tylko kolbami, — odpowiedział ktoś niechętnie.

— Gdzie się pali? Ogień jakby coraz większy.

— Rynek. Niemcy chodzą od domu do domu, oblewają naftą i podpalają.

— Jezu, zginie całe miasto! — zalkał głos z ciemności. — I my wszyscy zginie!

Jakby w odpowiedzi, zaczęły znowu bić armaty.

Mały parterowy domek rozdygotał się, aż do fundamentów: trzasnęły drzwi, jakby poruszane niewidzialną ręką, rozwał się piec, ze ścian zlatywały z brzękiem obrazy, przewracały się sprzęty, wylatywały reszty szyb. W izbie duszno było od wapiennego kurzu odpadających tynków i ciemno, bo jeno przez zawarte okiennice sączyły się krwawe brzaski niedalekich pożarów. W jednym z kątów, przed złocistym obrazem Częstochowskiej, ustawionym na podłodze, tliła się jeszcze olejna lampka. W głębi z kupy barłógów roznosiły się nieustające szłochy dzieci, a w przerwach grzmotów i wycia działa, wybuchały rozpaczliwe błagania:

— Boję się! Mamusi, boję się!

Ale huk armat znowu przygłuszał te lamenty bezbronnych piskląt, domek się szarpał, chwiał w różne strony i, trzeszcząc złowrogo, dawał pozor jakoby okrętu porwanego przez huragany; okrętu skazanego na zatracenie.

Matka uspakajała jak mogła, nie pomogło, płakały coraz żałośniej.

— Cicho dzieci, śpijcie, zaraz przestanie grzmieć, nie odejdę was, robaki kochane, nie bójcie się. Jak ojciec przyjdzie, pójdziemy do ciotki na gruszkę. Józiu, wyjrzej-no, czy ojciec nie powraca!

Chłopiec wyszedł bez słowa i jakby pijany zatoczył się na ścianę. Wiedział, że ojciec powrócić nie może. Przed paru godzinami, o zmierzchu rozstrzelali go Niemcy! Własnymi oczami patrzył na jego śmierć. Miał jeszcze ręce powalane jego krwią. Żołdackie kolby i bagnety odpędziły go od trupa. Przyleciał do domu z tą wieścią i coś wyższego nad jego pojęcie i wolę przymusiło go do kłamstwa przed matką. Przyleciał pełen strasznego krzyku, lecz dojrawszy jej twarz udręczoną niepokojem, nie potrafił już wyznać przed nią. Gotów był sam umrzeć, niżli przyczynić jej tej nowej i strasznej boleści. Zawarł się w sobie i milczał. Miał dopiero lat czternaście, ale te dni wojny i śmierć ojca uczyniły mu duszę starą jak świat, jak ból, jak ludzkość. Patrzył na wszystko, jakby w coraz głębiej zapadającej się otchłani, że nawet nie czuł już żadnych obaw ni trwóg. Dusza mu skamieniała na bryłę zlodowaciałych lez.

Siedział czas jakiś pod ścianą, bezmyślnie zapatrzony w pożary i kłęby dymów. A miasto umierało: jakieś potworne dzioby, kujące bezustannie w ciemnościach, rozszarpały je na strzępy. Posępne skrzydła dymów przysłaniały walkę i pożogi. Domek stał za rogatkami, przywarty szczytem do cmentarnego wzgórza, na którym dziko szumiały ogromne drzewa i bielili się tysiące krzyżów. Szeroka ulica prowadziła do miasta leżącego nieco niżej: pędziły nią automobile, maszerowały wojska, toczyły się działa i przelatowała konnica, zaś niekiedy gromady ludzi z obłąkanym wrzaskiem uciekały w pola, w ciemność pod płoty i w rowy przed gradem

kul świszczących na wszystkie strony.

Chłopiec, posiedziawszy dłuższą chwilę na dworze, powrócił do mieszkania.

— Cóż, nie widać? A może po drodze wstąpił do znajomych? — pytała matka.

— Miał zajrzeć do stryja... — wspomniał nawet. — Pewnie tam zostanie na noc.

— I nas by samych zostawił w taką straszną noc? Tylko go patrzeć, pewnie wróci łakami, trochę dalej, ale bezpiecznie. Przecież się tam nie biją, co?

Józio pod jakimś pozorem uciekł przed dom, bał się w rozmowie zdradzić.

Armaty biły coraz rzadziej i pociśki niby meteory przelatowały w ciemnościach. Gdzieś w nocy gdakały ohydnie kartaczownice z monotonnym uporem i trzeszczały karabinowe salwy. Słychać było plusk kul uderzających w cmentarne drzewa i gontowe dachy. Bitwa zdawała się już przycichać, natomiast pożary wznęły się z minuty na minutę. Miasto stawało się podobne do płonącego stosu, spowitego w czarne kłębowiska dymów, że tylko niekiedy odsłaniały się głębie ulic niby krwawe rany, pełne strasliwej grozy walących się domów, zapadających się dachów i ulewę cegieł. A z tego piekła, ponad szumy ognia i trzaski, ponad ryki armat i świsty kul, wydierał się potworny krzyk człowieka! Szłochy i płacze zdawały się wybuchać z wnętrza samej ziemi. Naraz okropny grzmot rozdarł powietrze tak blisko, że Józio uderzył o ścianę, odbił się od niej i potoczył do przydrożnego rowu.

Oprzytomniał dopiero na świtanie i ledwie się zebrał na nogi.

Z domu pozostała jeno kupa połamanych ścian i dachów, a z pod rumowisk wydobywały się jakieś kornające jęki.

Rzucił się na ratunek. Nadarmo jednak poszły wszystkie jego rozpaczliwe wysiłki; nadarmo krwawił ręce i padał z wyczerpania, nie poradził się przedostać.

Błagał, zebrał zmiłowania i skamlał u nóg każdego przechodnia o pomoc, bo jęki stawały się coraz ciśnie i jakby coraz dalsze, aż w końcu zupełnie umikły. Zrozumiawszy, że wszystko skończone, padł bez sił, bez myśli i bez czucia.

Dzień się podniósł słoneczny, zadyminy jeno i pełen swędu spaliny. Bitwa była już skończona.

Dobrze już po wschodzie, na drodze zagrzmiała kapela i w tumanach kurzu jęła się ukazywać maszerująca kolumna. Muzyka huczała coraz mocniej i tryumfalniej, a wraz też za dygotała ziemia od kroków tysięcy. Zaśnił w słońcu nie przejrzały las bagnatów, rozpalili się złociste pikethauby, świeciły wypasione gęby i zajaśniały dzikie, okrutne oczy. Na wspaniałym gnidoszu jechał oficer i w jakiejś chwili, przed rogatką, dał znak i potężny chór głosów uderzył w niebo.

Parli się naprzód w ulice płonącego miasta, niby rzeka potężna, groźnie wezbrana mocą i wszystko po drodze druzgocąca.

Józio porwał się nagle, krew oblała mu twarz i serce przyjęła taka strasliwa nienawiść, że porwawszy kawał cegły, trzasnął ją w łeb oficera.

— Masz za wszystkich, ty psie! — zakrzyczał nieprzytomnie.

Oficer zachwiał się w siodle, ale w tej chwili sto bagnatów, sto kolb i sto obcasów spadło niby huragan na zuchwalca.

Popłynęli dalej z tryumfalnym śpiewem i muzyką, jeno przy drodze pozostała bezkształtna kupa ciała, z której wynosiła się tylko pięć groźnie zaciśnięta. **B. R.**

## Jak polska łódź podwodna „Orzeł” przedarła się z Bałtyku do Anglii, ścigana i ostrzeliwana przez okręty nieprzyjacielskie.

Bohaterskie przedarcie się z wód Bałtyku do Anglii polskiej łodzi podwodnej „Orzeł” jest nadal przedmiotem podziwu dla prasy angielskiej i brytyjskiej marynarki wojennej. Środowiska angielskiej marynarki wojennej w ten oto sposób opisują odyseję polskiego okrętu podwodnego „Orzeł”:

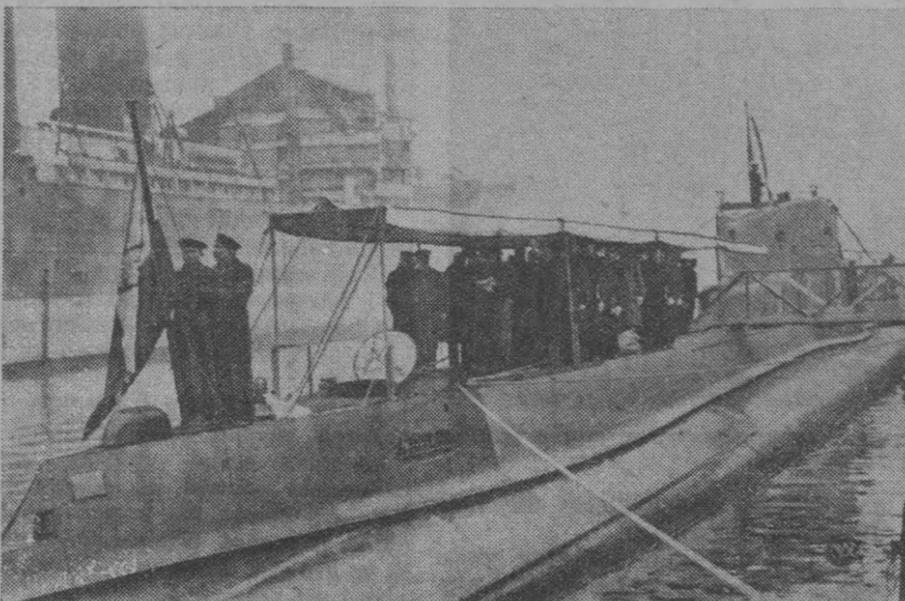
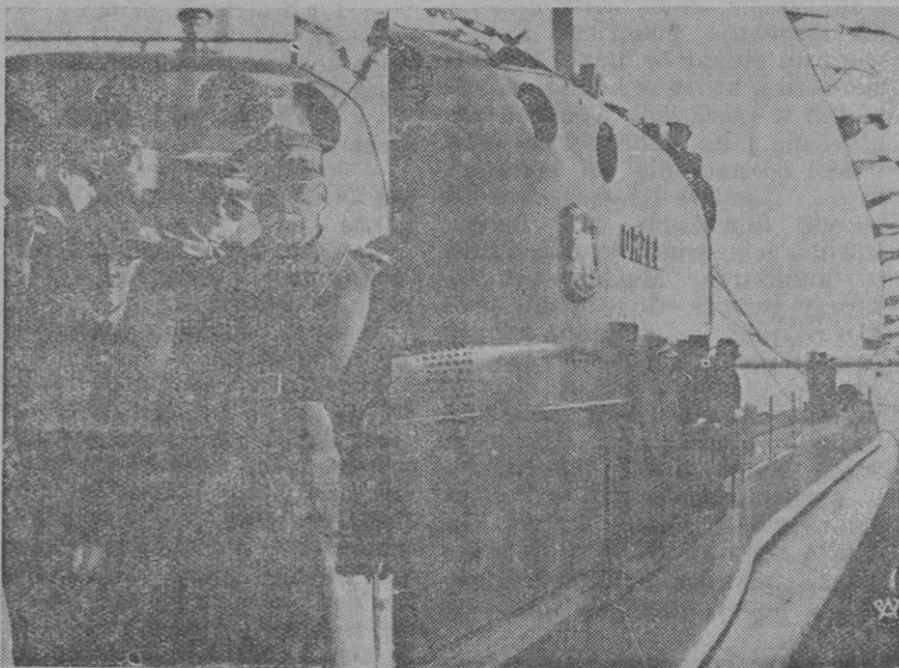
W chwili wtargnięcia wojsk niemieckich do Polski, „Orzeł” znajdował się w Gdyni. Wobec tego, że w pobliżu znajdowały się niemieckie bazy morskie, mające możliwość bombardowania portu gdyńskiego, kapitan „Orla” powziął decyzję opuszczenia portu. Nastąpiło to w dniu 1 września. Kapitan łodzi podwodnej był jednak ciężko chory. Przez 4 dni „Orzeł” pływał w zanurzeniu na wodach zatoki gdańskiej, śledząc przez cały czas, przy pomocy swego periskopu, bombardowanie wybrzeża polskiego przez lotnictwo i artylerię niemiecką.

Zatoka gdańska jest płytka, wskutek czego warunki nawigacyjne dla łodzi podwodnej są tam niezmiernie trudne. W pewnej chwili „Orzeł” został wysledzony przez patrolujące samoloty niemieckie. Zręcznym manewrem uniknął jednak ataku bomb. Wkrótce potem został znów otoczony sznurkiem niemieckich torpedowców i tylko z wielkim trudem, dzięki niezwyklej zręczności dowódcy, mógł zmylić czujność i przedrzeć się na szerokie wody Bałtyku, mimo osaczenia go przez jednostki niemieckiej floty wojennej.

W między czasie „Orzeł” odebrał sygnał innej polskiej łodzi podwodnej, która znalazła się w podobnej sytuacji: „Jestem otoczony — pomóżcie mi”. Tak brzmiał meldunek drugiej łodzi podwodnej. „Orzeł” przez cały tydzień krążył po Bałtyku, szukając drugiej łodzi podwodnej, która wzywała pomocy.

Stan zdrowia kapitana „Orla” z każdym dniem pogarszał się, do tego stopnia, że marynarze musieli go wynieść na mostek kapitański gdzie, mimo wycieńczenia, chciał do ostatniej chwili pełnić służbę. Upadającego ciągle na siłach kapitana, postanowili drugi oficer okrętu umieścić w szpitalu w jednym z portów neutralnych. W tym celu „Orzeł” zawinął do portu w Tallinnie. Tamteż kapitan „Orla” został wysadzony na ląd, a drugi oficer, Jan Crudziński, objął dowództwo łodzi podwodnej. Ostatnie przygotowania do opuszczenia portu w Tallinnie były już ukończone aż tu nagle estońskie władze portowe oświadczyły, że nie mogą zezwolić na odpłynięcie łodzi podwodnej zanim nie opuści portu jeden ze statków handlowych niemieckich. W ten sposób upłynęły 24 godziny, po których władze estońskie oświadczyły dowódcy „Orla”, że okręt jego jest internowany, gdyż przebywał w porcie dłużej aniżeli na to zezwala termin, obowiązujący dla okrętów państw walczących. Po tym oświadczeniu „Orzeł” został rozbrojony a mapy nawigacyjne skonfiskowano. Rozpoczęto natychmiast wylądowywanie torped. Na pokładzie „Orla” umieszczono posterunki estońskie.

Wylądowanie torped dobiegało już końca, kiedy w niedzielę po południu porucznik Piasecki, drugi oficer pokładu, myląc czujność posterunków, zdołał przepłować linię okrętową żorawia, przy pomocy którego wydobywano torpedy. Na skutek tego „zabiegu” wylądowanie zostało przerwane i odroczone do następnego dnia. Ocalono w ten sposób 5 torped. Następnie załoga „Orla”



Bohaterska łódź podwodna „Orzeł” na dwóch różnych zdjęciach.

przepiłowała dyskretnie liny, którymi łódź podwodna była przycumowana do wybrzeża. Jednocześnie oficer mechanik Pierzchlewski przygotował w ukryciu nakreślona na prędcie mapę nawigacyjną. Z tą chwilą „Orzeł” miał już opracowany plan ucieczki, czekając tylko na odpowiedni moment. Korzystając z ciemności, polscy marynarze ubiegli w nocy posterunki estońskie, przecięli druty telefoniczne, które znajdowały się w pobliżu, rozbijając jednocześnie straż wojskową, czuwającą na wybrzeżu obok „Orla”. „Orzeł” został natychmiast puszczony w ruch, kierując się na otwarte morze. Manewry związane z odjazdem „Orla”, mimo to, że przeprowadzone były z jak największą ostrożnością, zbudziły jednak załogę sąsiednich statków. Zanim jeszcze „Orzeł” zdołał wypłynąć z portu, otwarto silny ogień. Przeciskając się przez wąski kanał wyjściowy, „Orzeł” zaważył o jakąś skałę, mimo to zdołał ująć, bez żadnego uszkodzenia, na morze. Tam jednak czekały go dalsze trudności. Musiał bowiem prześlizgiwać się między całym szeregiem małych ufortyfikowanych wyspek, osłaniających port talliński. Ścigany światłem reflektorów, dostał się pod ogień ciężkiej artylerii estońskiej, co zmusiło go do zanurzenia. Przez całą noc zmuszony był płynąć w zanurzeniu, ścigany przez lotnictwo i flotylę torpedowców. Wczesnym rankiem „Orzeł” osadł na morzu, aby ustalić dokładnie swoją pozycję podczas gdy w międzyczasie wybuchały tuż obok niego pociski artyleryjskie i bomby

rzucane z samolotów.

O godz. 9-tej rano nastąpiła pewna cisza w bombardowaniu. Skorzystał z niej „Orzeł” i ostrożnie wynurzył się. Dowódca łodzi podwodnej postanowił wówczas odszukać niemiecki statek handlowy, który kilka godzin przed nim odpłynął z portu tallińskiego, a następnie dobrnąć do wód terytorialnych angielskich. Patrolując na Bałtyku „Orzeł” pięciokrotnie zahaczył o podmorskie skały, wskutek czego uszkodził swój dziób. Następnie dotarł do jednej z małych wysepek na Bałtyku, gdzie wysadził na ląd rozbrojone i ubiegli posterunki straży estońskiej, które pilnowały łodzi podwodnej w porcie tallińskim. Po wysadzeniu tej straży na ląd, dowódca „Orla” przesłał drogą radiową wiadomość, oświadczając, że strażnicy estońscy są żywi i zdrowi i, że rodziny ich nie powinny się niepokoić o ich los. Szczegół ten jest bardzo ważny, gdyż, jak wiadomo, radio berlińskie puściło kłamliwą wiadomość o rzekomym zamordowaniu strażników estońskich przez załogę „Orla”.

W tych warunkach ułynęło już 22 dni od chwili, kiedy „Orzeł” wymknął się z sieci okrętów niemieckich, patrolujących w zatoce gdyńskiej. Przez całe jeszcze dwa tygodnie bohatera łodzi podwodna polska krążyła po Bałtyku, nieustannie ścigana przez torpedowce niemieckie, czyhające na nią na każdym kroku. „Orzeł” płynął przeważnie w zanurzeniu, będąc w ciągłej niepewności czy nie zderzy się z jakąś skałą podmorską gdyż nie miał map nawigacyjnych. Trudno-

ści te powiększone jeszcze były koniecznością odnawiania baterji elektrycznych i uzupełniania zapasów wody, która się wyczerpała. Oszczędzanie zapasów wody było tak daleko posunięte, że nie używano jej nawet do kuchni, nie mówiąc już o tym, że załoga „Orla” zmuszona była zrezygnować z mycia się od 15 dni. W dodatku rozchorował się kucharz „Orla” na skutek rany, odniesionej w rękę.

W 38-y dniu niebezpiecznego krążenia po Bałtyku, wśród ciągłych przygód i ustawicznych zasadzek patrolujących torpedowców niemieckich, dowódca „Orla” postanowił dotrzeć za wszelką cenę do wybrzeży angielskich. Przedarcie się przez cieśniny bałtyckie nie odbyło się bez wielkich trudności. W pobliżu wybrzeża szwedzkiego, gdzie płytkość morza nie pozwalała już na zanurzenie się, „Orzeł” natknął się na zapórę niemieckich torpedowców. Trzeba było niezwyklej sprawności manewrowania i wyjątkowej zimnej krwi, aby uniknąć ognia patrolujących jednostek niemieckiej floty wojennej. „Orzeł” musiał niemal co chwilę zanurzać się, tam, gdzie to było tylko możliwe, i wypływać na powierzchnię, aby zmylić czujność okrętów niemieckich, które zasypywały morze snopami reflektorów. W Kategaccie wyłoniły się nowe trudności nawigacyjne w związku ze ścierającymi się tam prądami morskimi, szczególnie zaś z zimnym prądem, napływającym z nordyckich fiordów. Na tle tych właśnie trudności „Orzeł” został okryty przez niemieckie kontrtorpedowce. Dowódca polskiej łodzi podwodnej postanowił wówczas osiąść na dnie morskim i przeczekać. Manewr ten się udał. Czujność niemieckich kontrtorpedowców została zmylona.

Na pokładzie „Orla” sytuacja stale się pogarszała. Załoga „Orla” od kilku już dni nie miała wody do picia. Stacja radiowa, uszkodzona ogniem baterji estońskich, funkcjonowała tylko częściowo. Sygnały były niewyraźne, co stwarzało niebezpieczeństwo, że zarówno okręty państw sprzymierzonych jak i niemiecka marynarka wojenna uważała ją będą za okręt nieprzyjacielski. Mimo to w dniu 14 października dowódca „Orla” zdołał przesłać meldunek w języku angielskim, który aczkolwiek niewyraźnie, został jednak odebrany przez jedną ze stacji na wybrzeżu brytyjskim. Sygnał ten brzmiał: „Proszę o zezwolenie przybycia do brzegu i o pilota. Nie mam map nawigacyjnych — „Orzeł”.

W kilka godzin potem bohatera „Orzeł” odszukany został przez jeden z kontrtorpedowców brytyjskich, który go wprowadził do portu. Po wylądowaniu załoga „Orla” dowiedziała się, że druga łódź podwodna polska, której poszukiwano na Bałtyku, również zdołała przedrzeć się przez pierścień osaczających okrętów niemieckich i znajduje się już w Anglii.

Natychmiast po wylądowaniu, mimo całego wycieńczenia po tej długiej odyseji, bohatera załoga „Orla” zwróciła się z prośbą o uzbrojenie okrętu i o bezzwłoczne powierzenie jej służby patrolującej w szeregach brytyjskiej marynarki wojennej.

Po przybyciu do wybrzeży angielskich, załoga „Orla” powitana została z niezwykłym entuzjazmem przez ich brytyjskich kolegów. (Pat.)

Wspomnienie z pobytu w Brazylii w r. 1937.

## Wieczera wigilijna w Cayoba.

Z niemalym rozrzwinięciem, tęsknotą za krajem ojczystym i rodzimą, miały żmudne i ciężkie, choć bardzo oryginalne, dla mnie całkiem obce godziny dnia wigilijnego, spędzonego zdala od kraju, na drugiej półkuli, w Brazylii. Mijały ciężkie minuty, wydając się każda jakąś brzemioną niemal w smutek godziną, myśl nieustannie krążyła około jednej osi centralnej — Polski, ku niej biegła, w niej szukała odpowiedzi na wiele zagadnień, na liczne pytania mimowoli wysuwające się... Niemoc znalezienia odpowiedzi na pytania, zagadnienia, ściśle związane z powszechnie tak znanym uczuciem nostalgii, potęgowała ból, niweczyła tak rozkoszne wrażenie tropikalnej przyrody z jej niezaprzeczoną urokiem morza. O! jakże dziwnie łamała się w mej duszy i rozmyślaniach śnieżna i mroźna noc wigilijna w kraju ojczystym z rozpromienionym, jaskrawym wieczorem brazylijskim nad brzegiem zatoki Cayoba (Kajuba), położonej w odległości 150 km. od Kurytyby.

Siedziałam wpatrzona w bezkresną dal wodną z jednej strony opasaną górami Siere da Mar, z drugiej bezpośrednio związaną z Atlantykiem, który ciągnie się wzdłuż wybrzeża, a poszum fal morskich dolatywał mnie z tyłu, zlewając się w gamę tak dziwnie monotoniczną i jednostajnych dźwięków, chwilami tylko przerywaną silniejszym uderzeniem przypływających fal. Już słońce chyliło się ku zachodowi, śląc jakby pożegnalne promienie. Na brzegu pusto, tylko żałośnie pruje powietrze unosząca się w górę krowa, pospolicie tu zwana sanitariuszem, szuka żeru padliny lub resztek ryb, które często pozostawiają na brzegu rybacy. Ten dziwnej urody ptak, podobny nieco do kruka dużych rozmiarów, wciąż krążył nad moją głową, to zbliżał się to oddalał, wykonując nieustannie taniec powietrzny. Zdala zoczył resztki rekina — młota, którego przed chwilą złowili rybacy, już obdarli ze skóry a pozostawione wnętrzności i łeb bardzo oryginalny były celem zabiegów powietrznego myśliwca.

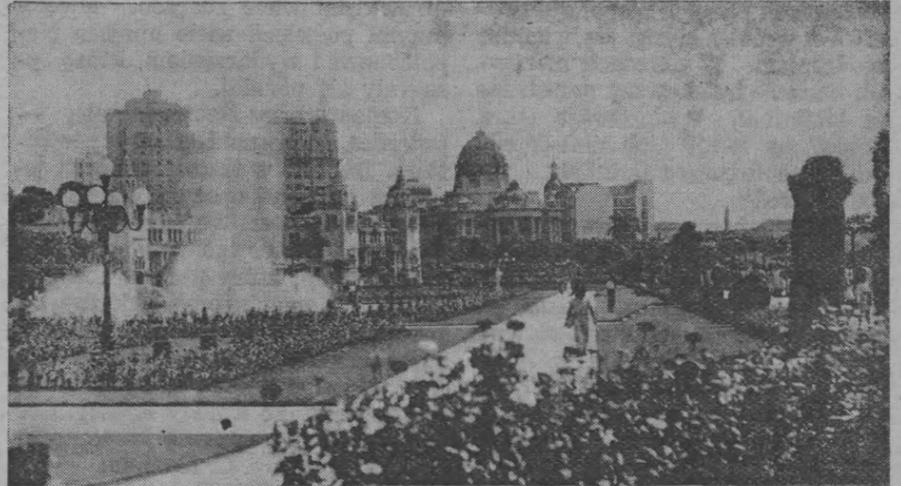
Ostatnie promienie zachodzącego słońca znikły, pograżając piaszczyste wybrzeże w głęboką ciemność. Zamysłona i rozrzwinięta, ze wzrokiem utkwionym w dal, siedziałam, przenosząc od niechęci wzrok w stronę, gdzie pod maleńką, skalistą wysepką, zwaną przez tubylców „wyspą miłości” coś zaszeleściło, drgnęło, plusk fal stawał się wyraźniejszy. Wyczuwałam instynktownie, że coś wkrada się w głębię mej samotności, zda się koniecznie chce przerwać mą zadumę. Ocknąłam się, przerwałam na chwilę bieg myśli, a wytracona z równowagi dostrzegłam wyraźnie zarys zbliżającej się łódki. Maleńka, kołysząca się niemal lupinka, kierowana wprawna

rekań tutejszego kabokla, któremu w holowaniu pomagał chudy wyrostek, zbliżała się. Nagle powierzchnię wody rozjaśnił sznur lamp elektrycznych, miarowo rozrzuconych po obu stronach skalistego wybrzeża, pokrytego w tej chwili choć skarlłowaciami, lecz w pełnej zieleni roślinnością górską, z pośród której z triumfem wystrzela okryta bujnym kwieciami kozierma liliowa, przyczepiona jak gniazdo jaskółcze do skały, jeden z przedmiotów wielkiego podziwu Europejczyków. To wszystko przykuło mój wzrok. Łódka przybiła do brzegu. Rybacy wyszli i snują się jak cienie wzdłuż jedynej uliczki w środku Cayoba.

Za nimi biegła myśl moja, nasuwając dla mnie nader przykre rozmyślenia o życiu emigracji brazylijskiej, tych biednych rzesz, które za chlebem wyruszyły w świat daleki tak daleki, tak dziwnie inny, tak bardzo dla nich obcy. I myślę, co w tym dniu tak uroczystym dla nas, ma na stole wigilijnym nasz kolonista? Jakiego uczucia doznaje ten tułacz, nie znający języka miejscowego, rzucony wśród obcych na łaskę i niełaskę losu... Łzy bólu spływają po twarzy, usta szepczą modlitwę... a wzrok z wyteżeniem szuka w szeregu wil, wśród gwaru przybyłych na święta gości, pensjonatu pp. Z. Przed każdym niemal domem dziś tak odmiennym, bo rześcicie oświetlonym, grupa osób, wesoło rozmawiających, a wpatrzonych w błękitny lazur nieba. Jedni chcą odgadnąć, jaka ich czeka jutro

chwili, potęgowało braterską niezaufania i szczerości, jaką odczuwa się w każdej chwili współzycia z p. gen. kon. G., w którego osobie wszyscyśmy widzieli przedstawiciela tak oddalonej Ojczyzny i wyczuwali O-

jarzającej choinki wywołał na nowo zadumę na mym licu. Wszak tam w Ojczyźnie rok rocznie rodzina cała zbiera się wokół choinki, głosząc sławę Nieśmiertelnemu, który Syna Jedynego zesłał ku zbawieniu ludz-



Plac paryski w Rio de Janeiro, stolicy Brazylii.

piekuna, gotowego zawsze stanąć w obronie pokrzywdzonego i śpieszącego z życzliwą pomocą.

Oplakaniem rozpoczęła się wieczerza, kołędą zakończona. Ileż miała podniosłych, a zarazem radosnych chwil. Z głębi serca płynęły życzenia, nacechowane szczerą przyjaźnią, co mówiły usta, dyktowało serce, wpadając głęboko w pamięć uczestnika. Serdeczny nastrój udzielał się każdemu, nawet przygodny obserwator, przybyły zniemacka, wyniósł by wrażenie nuty brater-

kiemu. Cały splot melodyj, związanych z przepięknymi kołędami staropolskimi, tak żywo przesunął się na tle obrazka rodzinnego, tak pełnego swoistego sentymentu... Różne przeróżne przeżycia jak w kalejdoskopie przesuwały się żywo odzwierciedlały, wywołując smutek, tęsknotę, chwilami nawet dziwny lęk oddalenia, wycucia całej odrębności przyrody, obawy pozostawienia kości na obczyźnie... Zaduma owładnęła mną całą, zwiła głowa, oczy niemal odrętwiały, a łzy skryte tak bolesne, mimowoli dawały i tamowały oddech. Zdawało się, że tylko powiew powietrza z kraju ojczystego, poszum wichru, zadymki śnieżnej lub fale eteru, niosące wraz z pozdrowieniem Anielskim wieści z kraju, złagodzą ból, zniwelują wszelkie uczucia tęsknoty... O! nieopisana bezwładność, tyś opanowała mnie wszechwładnie, wżarłaś się we wnętrze, tyś uczyniła ze mnie niemal martwą statuetę!... Tak mijały długotrwałe minuty, wydające się wszystkim sekundami, dla mnie zdawały się być godzinami...

Nagły dźwięk muzyki wyrwał z odrętwienia. Przepiękna melodia staropolskich kołęd „Anioł pasterzom mówił... a za nią „Bóg się rodzi”... wywołała zmianę... Znikła smętnica, ustępując miejsca uczuciom radosnym, zacierając ślady wszelkiego smutku, a chóralny śpiew wszystkich uczestników wieczerzy i przybyłych gości — Polonii kurytybskiej — z jej przemiłym gen. Konsulem, przeniósł mnie na Ojczyzny łono. Pierzchy wszelkie niedomagania i żale, podniosłam się, by wspólnie z nimi kołędować Małemu Jezusowi Chrystusowi, dziś nam narodzonemu...

Raźno i ochoczo przechodzą do jednej pieśni do drugiej, a grono rozbawionej młodzieży, uszczęśliwionej gwiazdką i darami, nie posiadało się z radości. Niejednokrotny wybuch śmiechu dziecięcego odrywał wzrok od jarzającej się choinki, kierując go w stronę rozbawionej dziatwy, pośród której krążył Anioł Opiekun, p. L., darząc wszystkie upominkami, nie wyłączając i starszych.

Każdy zaciekawiony z pewną nieśmiałością oglądał dar. Śmiechom i radościom nie było końca. Przeróżne słodczyce umilały nastrój, a pojedynczo wzniesiony toast na pomyślność oddalonej Ojczyzny zapieczętował uctę wigilijną, po której pozostało nader miłe wspomnienie.

Cecylia Kuncewiczowa.

Pisane w grudniu 1938 r.



Rio de Janeiro — dzielnica Copacabana.

pogoda, inni szukają gwiazdki. Tych ostatnich grupka niewielka — to nasza Polonia, która zwyczajem staropolskim chce zasiąść do wieczerzy. Wreszcie na ciemnym nieboskonie po godzinnym oczekiwaniu zjawiała się tak upragniona gwiazdka betlejemska. Koło godziny 8-mej towarzystwo polskie, liczące osób 12-cie, skupiło się wokół stołu wigilijnego. Serdeczność, prostota i beceremonialność cechowały ten wigilijny wieczór, co podnosiło uroczystość

skiej przyjaźni i zażyłości, ujawniające się na pierwszy rzut oka rozłokowaniem przy stole. Nie było tej przesady ceremonialnej, tej urzędowej hierarchii, co podług mnie charakteryzuje ludzi wysokiej kultury, bogactwa serca i ducha. Przy stole rodziny decydowały, tworząc ogniwa wielkiego łańcucha braterskiego, opasującego ludzi żytych.

W niezmiernie podniosłym nastroju chwili, w szczerzej radości upłynęła pierwsza część, chwilami przerywana wspomnieniami lat ubiegłych, co skracało oczekiwanie drugiej części uroczystości. Wreszcie ziszcili się marzenia naszych miłusińskich. Zapalono świeczki na choince, pięknie ozdobionej, zarówno bańkami szklanymi, złotymi, srebrnymi nićmi, jak i zabawkami, cackami własnych rąk. Piękny, rozłożysty piniorek z błyszczącym zakończeniem szklanym, stał dumnie na sztucznie zrobionym z zieleni podwyższeniu, robiąc wrażenie wyrosłego wśród skał, a szczytem wznoszącego się ku przestworzu. Rześciste światło wieli świeczek dawało dużo uroku, rzucając swe drobne promienie bądź na gałązki, usłane sztucznym śniegiem, bądź na zieleni zaśnieżoną u stóp drzewka, gdzie spoczywało Dzieciątko Jezus. Widok



Kanał w Rio de Janeiro.

# Hitler w żelaznej klatce...

## Osobliwe przepowiednie Nostradamusa.

Co będzie jutro? Oto pytanie, które stawia sobie bardzo wielu ludzi, nie mogąc — rzecz jasna — odpowiedzieć na nie w sposób jasny i pewny.

Pytania tego rodzaju wykazują, że w czasach pełnych niepokoju pro-roctwa i wróżby cieszą się wielkim powodzeniem. W okresach niepewnych badacze i ciekawscy przestraszają biblioteki, wydobywają stare rękopisy, by wśród nich znaleźć odpowiedź na dręczące pytanie: „Co będzie jutro?”

W ostatnich czasach we Francji na rynku księgarskim pojawiło się kilka dzieł, komentujących przepowiednie Nostradamusa. Dzieła te, zupełnie poważnie traktują sławne „centurie” tego jasnowidza z XVI. stulecia. Nostradamus stał się modny. Podobno przewidział Hitlera w swych przepowiedniach, pisanych przed czterystu nieomal laty.

Kim był ów Nostradamus? Jest to jedna z osobliwych postaci z XVI-go stulecia. Michał Notre - Da-



*„Dieu sert icy de ma bouche  
Pour tancer la verité  
Si ma prediction te touche  
Rendi grace à sa Divinité”*

Nostradamus.

Czterowiersz, który dla siebie ułożył brzmi: „Bóg posługuje się mojej usty, by ci prawdę głosić. Jeżeli ma przepowiednia ciebie dotyczy — oddaj hołd jej boskości”.

me, czyli Nostradamus urodził się w roku 1508 w St. Remy, w słonecznej Prowancji. Był on potomkiem rodzinny lekarzy, podobno żydowskich. Michał studiował medycynę na sławnym wówczas Uniwersytecie w Montpellier. Jako lekarz zwiedził całą Francję. Zdolności pisarskie, którymi się odznaczył, ujawniły się nasamprzód w postaci traktatu z dziedziny medycyny, zatytułowanego „Szczegółowe przepisy na zdrowie ciała ludzkiego”.

Nostradamus, osiedlwszy się w miasteczku Salon, zaczął zajmować się astrologią i na podstawie gwiazd przepowiadać przyszłość. Pierwsze przepowiednie ogłosił w skromnym tomiku. Przepowiednie te pisane czterowierszem, zjednały astrologowi wielką sławę w okolicy. Sława ta rosła w miarę gdy Nostradamus coraz bardziej pewny siebie, rozszerzał zakres swego działania. Każdy nowy tom składał się z setki czterowierszy i z tej przyczyny nazwano te dzieła centuriami (cent — sto). W jednej z tych centurij poświęconych królowi Henrykowi II., Nostradamus przepowiedział, że monarcha ten zginie „w pospolitym pojedynku”. Gdy przepowiednia się ziściła, sława Nostradamusa przekroczyła najbardziej wysokie progi. Katarzyna de Medicis powołała go na swego przybocznego astrologa.

Styl przepowiedni Nostradamusa jest czasami bardzo niejasny. Zresztą wszystkie przepowiednie, nie wyłączając „wróżb” cyganek na jarmarku, znane są ze swych zawilosci, które można sobie różnie tłumaczyć. Niedarmo istnieje powiedzenie „na dwoje babka wróżyła”. Mimo tych

zawilosci stylu, przepowiednie Nostradamusa zawsze traktowane były poważnie przez wielu komentatorów, pragnących wyjaśnić prorocstwa maga z Salon.

Zdaniem znawców, Nostradamus przewidział wiele zdarzeń. Między innymi poświęcił wiele miejsca Napoleonowi i wydarzeniom, które rozegrały się później.

Komentatorzy Nostradamusa — twierdzą, że przewidział on także Hitlera. Istotnie w trzech strofach jednej z centurij spotyka się tajemnicze imię Hister. Według Nostradamusa ów Hister ma być potworem germańskim, który posieje pożogę i śmierć. Komentatorzy twierdzą, że przepowiednie, w których mowa o tajemniczym Histerze, dotyczą Hitlera. Przepowiednie te są straszne dla dzisiejszego władcy Rzeszy. Oto co pisze w tej sprawie komentator Nostradamusa p. C. Kerneiz:

„Jeżeli dziś wiele przepowiedni Nostradamusa staje się jasnymi, to dlatego, że doszliśmy do okresu, o którym mówią prorocstwa. W jednej z przepowiedni, w której mowa o pierwszym o tajemniczym Histerze, Nostradamus mówi, że rozlegnie się krzyk zgrozy i popłyną łzy na Malcie i w dzisiejszych Włoszech. Chodzi prawdopodobnie o wydarzenia, które jeszcze nastąpią.

W innej strofice, w 29-y czterowierszu piątej centurii, Nostradamus mówi, że świat odzyska wolność... dopiero wtedy, gdy „Hister wzniesie most między republiką a Wenecją”.

Komentatorzy Nostradamusa pragną widzieć w tym czterowierszu zapowiedź skierowania apetytów Hitlera w stronę Morza Adriatyckiego, skutkiem czego Włochy powstaną przeciw niemu z pomocą państw Sprzymierzonych. Hitler zostanie pokonany a wolność odzyska swoje prawa.

Trzecia wzmianka o tajemniczym Histerze przepowiada mu straszliwy los. Oto co pisze Nostradamus:

Bêtes farouches de faim fleuve  
[tronner,  
Plus part du camp contre Hister  
[sera,  
En cage de fer le Grand fera  
[trainer  
Quand Rin enfant germain  
[observera.

Zdaniem komentatorów, powyższy czterowiersz, pisany starą francuszczyzną, jest najbardziej zrozumiałym dla tego, ponieważ wyraźnie wskazuje, kim jest ów tajemniczy Hister.

Oto jak komentatorzy Nostradamusa tłumaczą na nowoczesny język podany wyżej czterowiersz:

Gdy głód, jako następstwo kryzysu gospodarczego, popchnie Germanów do przekroczenia rzeki, którą może być tylko Ren, większość narodów powstanie przeciw Histerowi, (plus part du camp contre Hister sera).

Wielki „Le Grand” zwycięzca dotychczas nieznan, zamknie Histera do klatki żelaznej. Tajemniczy ów Hister według powyższej przepowiedni ma być ujęty wtedy, gdy Germanowie będą chcieli sforsować granicę Szwajcarii, w której znajdują się źródła Renu, „Rin enfant”, jak mówi Nostradamus.

Czy należy brać dosłownie przepowiednie Nostradamusa, dotyczącą owej klatki z Histerem, trudno odpowiedzieć. Za czasów Nostradamusa, zwycięzcy tak postępowali z zwycięzonymi wodzami.

Jeśli chodzi o utożsamianie Hitlera z Histerem, liczni komentatorzy zgadzają się, że porównanie to jest trafne i, że przepowiednie Nostra-

# Wojna gazowa przed 24 wiekami przyniosła klęskę tym, którzy użyli gazów.

We Francji i w krajach demokratycznych, w których poczucie moralności stoi na wysokim poziomie, skrytobójstwo jest karane najsurowiej z pośród wszystkich zbrodni. Do najbardziej skrytobójczych zbrodni należy niewątpliwie trucicielstwo. Zbrodnia ta bowiem prócz mordu pospolitego, cechuje autora jako skrytobójcę, naturę tchórzliwą, podstępna.

Wszystkie te cechy mają także narody walczące środkami, niegodnymi rycerzy. Do środków najbardziej zbrodniczych, okrutnych a jednocześnie tchórzowskich, należy niewątpliwie posługiwanie się gazem trującym podczas wojny.

Posługiwanie się gazem trującym jest znane od blisko 2.500 lat. Poprzez całe wieki w szkołach wojennych omawiano z uczniami wszystkie sposoby walk, jakimi posługiwano się kiedykolwiek. Jednak mało było wodzów narodów, którzy na przestrzeni wieków, posługiwali się gazem trującym.

Posługiwali się nim częściowo Hunnowie, którzy prawie 15 wieków później znaleźli godnych naśladowców w Niemczech.

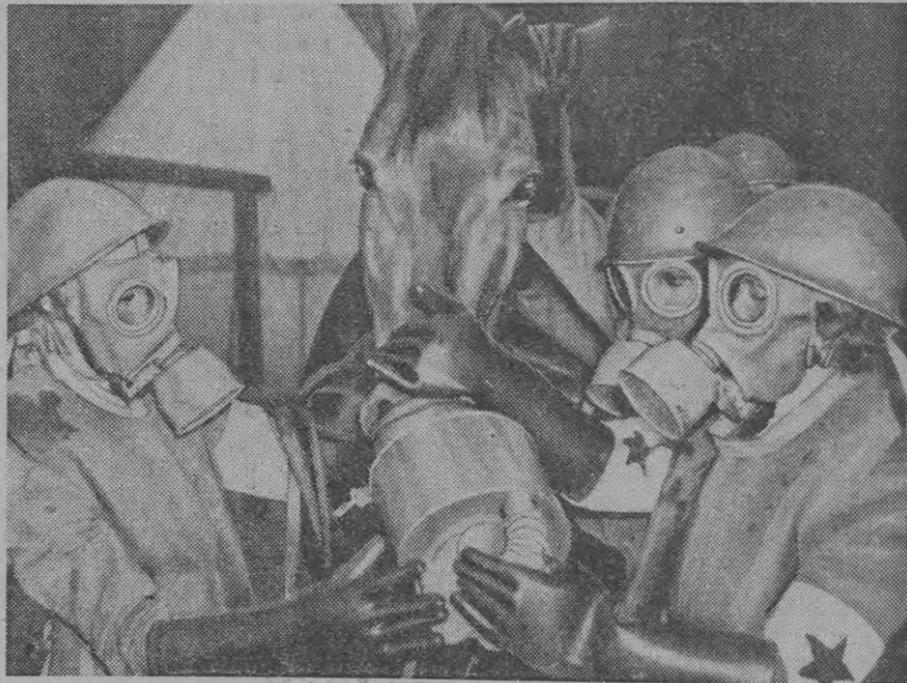
Gdy w roku 1915 dnia 22 kwietnia po raz pierwszy Niemcy użyli

oddychania czystego powietrza, znany jest obserwatorom życia od niepamiętnych czasów. To stwierdzenie naprowadziło niewątpliwie pewnych wojowników na myśl zaatakowania dróg oddechowych wojska nieprzyjacielskiego, by go pognać i pokonać.

W roku 470 przed Chrystusem, czyli przed 24-ma wiekami. Lacedemonczycy usiłowali zdobyć miasto Megarę przez otoczenie go chmurą dymu. Lacedemonczycy, którzy oblegali Megarę od dłuższego czasu bezskutecznie, nazywali wzdłuż szanów miasta łożyny namoczonej w siarce i posypanej grochem. Łozyny te zapalili. Ale w tej chwili zmienił się wiatr i trujący dym skierował się w stronę napastników, którzy w pośpiechu zbiegli z miejsca walki. Nie poniechali oni mimo to tego barbarzyńskiego sposobu wojowania. Nieco później bowiem zdobyli miasto Plate, przy pomocy czadu i dymu siarkowego, którymi spowili miasto.

Są to pierwsze notatki historyczne, opisujące szczegółowo ataki przy pomocy gazów.

Po kilkunastu wiekach, historia znów wspomina o gazach trujących jako jednym ze środków wojowania. Było to w epoce barbarzyństwa:



Maski gazowe dla koni

wypróbowano poraz pierwszy podczas ćwiczeń obrony przeciwlotniczej w Sztokholmie

masowo gazów trujących przeciw wojskom francuskim, odnowili tylko zbrodniczy sposób wojowania Hunnów i Lacedemonczyków, którzy podczas wojny peloponeskiej, mającej charakter wojny domowej, użyli gazu przeciw nieprzyjacielowi, lecz drogo za to zapłacili.

Fakt, że człowiek potrzebuje do

damusa, mówiące o Histerze, dotyczą Hitlera. Niektórzy komentatorzy twierdzą, że Nostradamus „prze-czuwał” pojawienie się Hitlera na scenie historii Europy. W każdym razie dziwnym jest, by ktoś przed czterema wiekami mógł wymienić nazwisko człowieka, który podpalił Europę.

Przepowiednie Nostradamusa dotyczą głównie Francji i krajów ościennych. Jedną z przepowiedni mówi, że gdy Francja będzie w niebezpieczeństwie, wybawi ją mąż, pochodzący z południowego wschodu. Niektórzy twierdzą, że owym mężem jest Daladier, który pochodzi z departamentu Vaucluse, położonego w istocie na południowym wschodzie Francji.

Wszelkie przepowiednie traktujemy zwykle z pewną dozą powątpiewania. Tym razem jednak wielu jest takich, którzyby życzyli sobie, ażeby przepowiednie o Histerze spełniły się co do joty.

w średniowieczu. Posługiwano się dymem siarkowym i dymem palącego się grochu. Straszliwy ten środek wówczas często decydował o ostatecznym zakończeniu walki.

Wymienionymi gazami posługiwano się do XVII. stulecia. Opisy tych walk należą do najbardziej bolesnych wydarzeń w historii ludzi.

Tajemnica sporządzania gazów z siarki i dymu grochowego była znana niewielkiej liczbie wtajemniczonych.

W r. 1756 jeden z posiadaczy tajemnicy sporządzania gazów zgłosił się do króla francuskiego Ludwika XV. i zaofiarował sprzedaż tej formuły. Król nabył ją, lecz w tym celu, by pogrzebać ją na zawsze w zapomnieniu „dla dobra ludzkości”, jak mówi kronikarz.

Poprzednik tego króla, Ludwik XIV. również był nagabywany o kupno formuły na sporządzenie gazów bojowych. „Król - Słońce”, oburzony do głębi na chemika, kazał natychmiast zniszczyć formułę mu zaofiarowaną.

Wielkiemu wojownikowi wszystkich czasów, Napoleonowi, również proponowano fabrykację pocisków, w których wnętrzu miał znajdować się kwas pruski lub kwas siarkowy. Napoleon odrzucił te propozycje z oburzeniem.

Niemcy w roku 1915 nie mieli tych skrupułów...

ADAM CZEKALSKI

## MILION W ZŁOCIE

POWIEŚĆ

7)

XIII.

Potworne więzy.

Stadnicki opuścił szpital z jakimś przedziwnym osadem gorczy, jaki pozostał mu gdzieś tam na dnie duszy po ciężkim oskarżeniu, pod jakim pozostawał przez kilkanaście dni. Wychodził ze szpitala uwolnionym od zarzutu zdrady, ale ten zwrot na papierku urzędowym: „z braku dowodów winy” zatruwał mu każdą chwilę jaśniejszej myśli. Z tych też przyczyn postanowił nieodwołalnie wystąpić z wojska, gdyż nie mógłby już z tą samą, co dawniej otwartością, z tą samą szczerością, spojrzeć w twarze kolegów.

— Byłem pod zarzutem zdrady — to dość — powtarzał sobie po raz już może dziesiąty, chodząc wielkimi krokami po swoim pokoju.

Najbardziej jednak zastanawiało go to, że ani rusz, nie mógł sobie przypomnieć, nie mógł odtworzyć w swoim umyśle przebiegu wypadków od chwili zaśnieżenia, czy też omdlenia w mieszkaniu Borowicza, aż do chwili znalezienia się w pociągu.

— Co to było? Co działo się ze mną? — powtarzał sobie nieustannie, daremnie próbując zmusić umysł do odtworzenia zaszłych wypadków. Daremnie wysiłał się do tego stopnia, aż doznawał bolesnych kłuc gdzieś tam pod czaszką — nic sobie przypomnieć nie był w możności. A w takich chwilach czuł wyraźnie, prawie namacalnie, że otacza go jakaś jakby atmosfera wrogości, czuł, jak gdyby ktoś niewidzialny, nieuchwytny, kierował jego wolą i jego myślami. Nie raz miewał złudzenia, że w tok jego myśli wpada czyjś głos obcy, groźny, daleki, głos jakiegoś niewidzialnego człowieka, narzucającego mu swoją wolę. W takich chwilach rozglądał się uważnie po mieszkaniu, zaglądał do wszystkich zakątków, ale nigdzie nie było żywej duszy. Nawet nieodstępny Żymelka siedział gdzieś w kuchni, wyjątkowo spokojnie i znaku życia o sobie nie dawał.

— Coś dzieje się ze mną? Coś dzieje się koło mnie.... — powtarzał sobie Stadnicki, nic pojąć nie mogąc. Czasami znowu wspominała mu się Lila, ale jakże inaczej, jak jeszcze tak niedawno. Zjawiała mu się teraz już nie jako istota nad wszystko w świecie kochana, już nie jako owo marzenie z lat najmłodszych, ów ideał jeden — jedyny, ale jak ktoś obcy, daleki, obojętny.

— Coś się dzieje ze mną, coś się ze mną dzieje...

Przetarł oczy dłonią i chodził dalej, nie mogąc zrozumieć co się z nim stało, dlaczego tak zobojętniał dla kobiety, która jeszcze niedawno była mu wszystkim. Ale dnia pewnego niewidzialne więzy jak gdyby nieco rozluźniły się na jego oponach mózgowych, jak gdyby ten ktoś niewidzialny, ten ktoś wrogi i nienawistny stracił na chwilę panowanie nad nim. Przywołał wtedy Żymelkę, pucającego porucznikowskie mundury w kuchni.

— Rozkaz, panie poruczniku! — zjawił się z butem w rękę ordynans.

— Żymelka, nie miałbyś ty ochoty przejechać się do Łodzi?

— Jeśli pan porucznik rozkaże, jestem gotów pojechać choćby zaraz.

— Słuchajno, Żymelka, lubisz ty mnie choć trochę?

— Jezu Maria, ja? A toć ja za panem porucznikiem w samogień piekielny gotów skoczyć, ze smokiem, z samym „ancykrysem” za lby się wziąć.

— Więc słuchaj, mój Żymelka, pojedziesz do Łodzi z listem. Ale pamiętaj, żebyś mi nikomu i nigdzie nie pokazywał tego listu, żebyś nikomu ani słówkiem nie pisał, z czym jedziesz.

— To się wi, panie poruczniku — jak rozkaz, to rozkaz.

— Wyrządzisz mi przez to dużą przysługę, a wiesz, że ja przysług nigdy nie zapominam, czego nie raz miałeś dowody.

— Panie poruczniku, jak Boga mego... — rozrzewnił się Żymelka. — A czy to ja żyd jestem, żółtek niechrzczoney, czy inny bajtlok, żebym tylko dla nagrody miał panu porucznikowi służyć?

— Wiem, wiem, porządny z ciebie chłopiec, mój Żymelka, ale widzisz, są pewne sprawy, których ja osobiście nie mogę załatwić, a chodzi o tajemnicę, chodzi o to, żeby ci nikt tego listu nie odebrał. W tym tylko wypadku może się mój zamiar udać. Więc słuchaj — znasz pannę Alicję Krupińską w Łodzi?

— Narzeczoną pana porucznika? A być byłem tam już dwa razy. Fajna panienska, strasznie fajna panienska.

— Otóż, pojedziesz do niej, oddasz jej list, opowiesz, jak byłem chory i zaczekasz na odpowiedź. A gdy tylko list dostaniesz, najbliższym pociągiem wracaj z powrotem.

— Rozkaz, panie poruczniku! Już ja tam ani sekundy nigdzie nie zabawię.

— No to idź-że przygotować się do drogi, a ja zatelefonuję o przepustkę dla ciebie do dowództwa i napiszę list.

Żymelka stuknął w obcasy i pędem pomknął do kuchni. Tymczasem Stadnicki, załatwiwszy dowód podróży dla ordynansa, za-

siadł do pisania listu. Ale tu stało się znowu coś takiego, czego Stadnicki zrozumieć nie mógł i w trakcie pisania listu nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Oto zapadł jak gdyby w trans, miał takie wrażenie, że to nie on pisze list, ale ktoś drugi, ten ktoś tacy, wrogi, nienawistny, ten ktoś tajemniczy, kto w pewnych fazach jego życia odgrywał tak kolosalną rolę, panował nad jego mózgiem, kierował jego myślami.

Ale tym razem, jak wielokrotnie przed tym, porucznik nie zdawał sobie wcale z tego sprawy, przeciwnie — miał wszelką świadomość, że to on sam pisze ów list, że to on sam wodzi piórem po papierze. Dopiero, gdy list podpisał, gdy go zapieczętował w kopercie i powstał, doznał takiego wrażenia, że głowa mu się coś kręci, a przed oczyma przesuwają się przedziwnie subtelne mgiełki.

— Jestem jeszcze bardzo osłabiony po chorobie — rzekł półgłosem — trzeba wypocząć, wyjechać gdzie, może do Zakopanego?

— Jestem gotów, panie poruczniku! — rozległ się naraz głos Żymelki w progu.

— Ach, to ty, Żymelka?

— Na rozkaz, panie poruczniku!

— Masz tu list, tu dowód podróży, a tu pieniądze na drogę. Tylko pamiętaj, żebyś mi wszystko tak załatwił, jak ci to powiedziałem.

— Może pan porucznik mi zaufać.

— No, to z Bogiem. Pamiętaj, chłopcze, że będę cię wycykiwał z każdym pociągiem, który przybywa z Łodzi.

Ordynans zasalutował, odwrócił się na pięcie i opuścił mieszkanie. Stadnicki czuł się bardzo osłabionym, wobec czego położył się na kozetce i podłożywszy ramiona pod głowę i przymknąwszy oczy — zadumał się.

A ordynans Żymelka, wypadłszy na ulicę, wskoczył do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju i pojechał na dworzec główny. Szczęście mu sprzyjało, bo zaledwie zdążył wykupić bilet i wskoczyć do pociągu, ten ruszył już w drogę ku Manchesterowi. Podróż odbył spokojnie, a po przybyciu do Łodzi, nie gapiąc się nigdzie, pojechał z dworca prosto do mieszkania Krupińskich. Na dzwonek przy drzwiach, otworzyła mu Marysia i uradowała się ogromnie.

— Ach, pan Żymelka! — zawołała, wpuszczając żołnierza do przedpokoju.

— A toć ja, sikorko, toć ja — odrzekł wesoło — to ładnie z twojej strony, że mnie pamiętasz tyle czasu. Toż to już blisko rok będzie, jak ostatni raz tu byłem u was.

— Równe dziesięć miesięcy minęło, panie Żymelka.

— Panie starszy, panie starszy, sikorko, nie widzisz belki na moim ramieniu. Ale mniejsza o to, powiedz-no mi, panno Maryś, czy panienska w domu?

— To pan pewnie od pana porucznika?

— A tobie co do tego, od kogo jestem? Dość, że jestem i mam ważną sprawę, służbowo jestem, można powiedzieć, pojmujesz, nadobna Meluzyno?

— O, to pan dzisiaj ważny?

— A pewnie, że ważny, ale nie marudź, ino idź do panienki i powiedz, że przyjechał „służbowo” z Warszawy ordynans Żymelka Melchior, pojmujesz?

— Pewnie — obruszyła się Marysia.

— No, to chodaj, chodaj, siostrzyczko.

Marysia zniknęła za drzwiami, a Żymelka został w przedpokoju. Mimochodem zerknął w lustro i poprawił na sobie mundur, a nim zdążył dokonać przeglądu całej swej postaci, w drzwiach stanęła panna Lila.

— Szanowanie paniencie — dygnął komicznie Żymelka — ja do panienki służbowo, można powiedzieć, w bardzo ważnej sprawie.

— Ach, to pan, bardzo proszę, pozwól pan dalej.

Ordynans poszedł z Lilą do pokoju i tutaj dopiero zaczął szukać gdzieś głęboko pod mundurem dobrze ukrytego listu porucznika. W końcu wy dostał go i podał drżącym z radości „paniencie”.

— Oto jest, proszę pani, oto jest!... Pilnowałem go jak oka w głowie, aby mi się gdzie nie zawieruszył.

Maleńka rączka Lili porwała kopertę jak najcenniejszą a bardzo upragnioną zdobycz i trzask dartego papieru oznajmił zambarasowanemu nieco Żymelce, że „panienka” rozerwała kopertę i zaczyna go czytać. Ordynans stał na miejscu w postawie służbowej i uważnie teraz obserwował Lilę i — pojąć nie mógł, coby jej się stać mogło. Przecież gdy wyjeżdżał, pan porucznik był w tak dobrym usposobieniu, że nie mógł w żaden sposób napisać w tym piśmie nic nieprzyjemnego, a tymczasem panienska taka wzburzona:

— Żymelka! — rzekła w końcu Lila, spoglądając na ordynansa wzrokiem, który chłopcu omal łez z oczu nie wycisnął, tak bardzo był żalony.

— Rozkaz, proszę panią.

— Czy pan porucznik bardzo chory?

— Iiii... cóż znowu, trochę jest jeszcze słaby, ale wcale nie chory. Przeciwnie, ostawiłem go w domu w bardzo dobrym humorze.

— I nie był zmartwiony?

— Wcale nie. Był wesół i gwarzył ze mną więcej niż kiedykolwiek, a tak się cieszył, że nareszcie będzie mógł znowu napisać do panią po chorobie.

Lila nic nie pojmowała.

— Pan porucznik nawet dużo o panią mówił — skłamał Żymelka, chcąc w jakiś sposób rozchmurzyć liczko bardzo czymś przejętej panią.

— Mój panie Żymelka — ozwała się Lila — tu zaszło jakieś straszne dla mnie nieporozumienie, bo list pana porucznika jest innym, zupełnie innym, niż mogłabym przypuszczać z tego, co wy mi powiadacie.

— Mój Boże, czy list ten zawiera co nieprzyjemnego? — zmartwił się ordynans, szczerze przejęty smutkiem „panienki”, dla której miał duży sentyment i uważał ją za część wspólnej własności, nazywając w chwilach pogodnych, wesołych rozmówek z porucznikiem „naszą panią”.

Lila nie odpowiedziała, ale ścisnęła głowę mocno dłońmi.

— Idźcie do kuchni, panie Żymelka, i posilcie się czymś tak dalekiej podróży — powiedziała następnie i zadzwoniwszy na Marysję, kazała jej zająć się Żymelką. Zostawszy sama, długo siedziała bezwładna na krześle, poczym poszła do matki i pokazała jej list.

— Nic nie pojmuję — odrzekła pani Ewa na to. — Więc zrywa z tobą? Ponawia zerwanie wyrażone już w swoim czasie przez Borowicza. I dlaczego? — Dlaczego? Czy zaszło coś takiego między wami, o czym ja nie wiem, córuś? Powiedz mi, kochanie, wyznaj wszystko...

— Ależ nic podobnego, mamó! — zaprotestowała Lila. — Najmniejszy dysonans nie zakłócił doskonałych naszych stosunków. Pamiętasz przecież ten dzień, kiedy to Jurek przyjechał do nas wezwany depeszą przez jakiegoś żartownisia — byliśmy wtedy jak najlepiej. A jednak, poszedł do Borowicza i — wiesz, co po tym nastąpiło. Ja tego nie rozumiem, zupełnie nie rozumiem.

— A ja tym mniej, ale czekajno, kochanie, przeczytajmy ten list raz jeszcze, a może doszukamy się prawdy między wierszami.

Obie panie zaczęły czytać raz jeszcze ów fatalny list, z którym Żymelka pędził do Łodzi z taką radością.

„Lilus — pisał Stadnicki — przebacz zawód i ból serca, jaki ci sprawiłem. Ja muszę odejść od ciebie, powinienem odejść, aby uszanować wolę twojego ojca, który w testamencie, przedstawionym mi przez doktora Borowicza, przeznaczył cię na żonę jemu, zaklinając na wszystko, co masz drogiego w życiu, abyś wolę tę wypełniła. W przeciwnym razie zagroził klątwami, których ja — boję się... Wyda ci się to śmiesznym, prawda? Ale wierz mi, że nie należy nigdy żartować z przekleństw rodzicielskich. Dla tego odchodzę, odchodzę z bólem, że sprawia ci tym ogromną przykrość. Ale wierz, tak będzie lepiej. Nie staraj się ani pisać do mnie, ani mnie widzieć. Występuję z wojska i wyjeżdżam. Nie zobaczysz mnie nigdy. Żegnaj moja Bajko o szczęściu, śniona od najwcześniejszej młodości. Jurek”.

— Dziwny list, bardzo dziwny list — zauważyła pani Ewa. — Przyjrzyj się temu pismu, jest jakieś inne, jakby wymuszone, jakby sztuczne.

— Może to list sfalszowany?

— Przecież przywiózł go ordynans pana Stadnickiego — to nie ulega wątpliwości, a nie mogę posądzić tego chłopca, o ile wiem, bardzo przywiązanego do swojego porucznika, oby dopuścił się jakiegokolwiek kunsztu z właściwym listem, jaki otrzymał od Jurka.

— I ja tak myślę, ale w takim razie — cóż to wszystko znaczy?

— Gdybym ja to wiedziała?

— Możeby raz jeszcze wypytać ordynansa?

— Cóż on może wiedzieć? Co wiedział, powiedział mi już.

— Głowa może pęknąć... Każ Marysji zawołać jednak tego chłopca i zostaw mnie z nim sam na sam — ja sama z nim porozmawiam, a może dowiem się coś więcej.

— Dobrze mamó.

Po chwili w pokoju pani Ewy zjawił się Żymelka i wyciągnął się jak struna na progu.

— Szanowna pani chciała mnie widzieć?

— Tak, tak... Mój panie Żymelka — proszę, usiądź pan na chwilę...

— O, dziękuję, ja postoję — wymówił się ordynans.

— Usiądź pan, usiądź pan, porozmawiamy o pewnej sprawie, która bardzo nas obchodzi. Zatem... mój panie Żymelka, powiedz — no mi pan, jak się pan porucznik czuje? Czy jest zupełnie zdrow, czy też — wciąż jeszcze jest chory?

— Ależ zdrow, prawie zupełnie zdrow! — zawołał Żymelka, nie rozumiejąc, dlaczego już po raz drugi pytają go dzisiaj o zdrowie porucznika.

— I nic mu nie dolega? Bywa wesół tak samo jak dawniej? Żymelka zamyślił się na moment, po czym odrzekł wolno, jakby się ociągał:

— No, wie pani szanowna, wesół, to on teraz nie jest taki, jak bywał dawniej, miewa czasem smutne, bardzo smutne myśli,

chodzi czasami zadumany tam i nazad po pokoju i coś mówi do siebie, ale żeby był chory, to wcale nie.

— Hm... ale jednak jest zamyślony, a dawniej takim nie był — powtórzyła pani Ewa i zamyśliła się na moment.

— O, to pewnie nic ważnego — podchwycił Żymelka — bo to, pani szanowna wie, ta sprawa, o którą pan porucznik był oskarżony, wiele zdrowia go kosztowała. Trzymali go w szpitalu i nawet mnie dopuścić nie chcieli do mojego porucznika.

Pani Ewa zdumiała się ogromnie, albowiem nic nie wiedziała o tym, jakoby Stadnicki był oskarżony w jakiegokolwiek sprawie. Dla tego spytała zaraz:

— I o cóż to oskarżono pana porucznika?

— Dobrze, to ja, proszę szanownej pani nie wiem, ale tak mi coś wspominał kolega z szefostwa, że jakoby zginęły jakieś papiery i te papiery miał jakoby zabrać pan porucznik. Ale to było kłamstwo, bo teraz sprawę umorzili i pan porucznik znowu jest wolnym i czystym. I tak musiało być, proszę szanownej pani, bo takiego uczciwego człowieka, jak nasz pan porucznik, to ze świecą szukać.

— No, a jak wam pan porucznik dawał ten list, cóście go przywieźli tutaj, to co mówił?

— Był bardzo ożywiony, dużo ze mną rozmawiał i jakby się cieszył, że będzie mnie mógł znowu wysłać do Łodzi, jak dawno temu. I powiedział mi, proszę szanownej pani, żebym poczekał na odpowiedź i natychmiast wracał pierwszym pociągiem do Warszawy.

— Kazał wam poczekać na odpowiedź? — zdumiała się pani Ewa.

— Tak, proszę szanownej pani — przytwierdził skwapliwie Żymelka. — Kazał mi pan porucznik poczekać na odpowiedź i pierwszym pociągiem wracać do Warszawy i jeszcze powiedział dosłownie tak: „pojedziesz (powiada) do niej, to znaczy do naszej panią, oddasz jej list, opowiesz jak byłem chory i zaczekasz na odpowiedź. A gdy tylko list otrzymasz, najbliższym pociągiem wracaj z powrotem”.

— To ciekawe — powtórzyła w zamyśleniu pani Ewa — to ciekawe... — Po czym, zwracając się do Żymelki, dodała: — Idźcie sobie do kuchni tymczasem i powiedzcie Marysji, aby o was pamiętała, a tymczasem panią napisze list.

Żymelka powstał, uderzył z fantazją w obcas i oddalił się, a pani Ewa, poprosiwszy do siebie Lilę, powiedziała jej o wyniku swojej rozmowy z ordynansem.

— Tu zachodzi jakieś niezwykle i niezrozumiałe nieporozumienie, moje dziecko — rzekła. — Stadnicki kazał temu chłopcu poczekać na odpowiedź, a z treści jego listu wynika, że nie liczył on na nią i nie spodziewał jej się zupełnie.

— No tak, bo list ten jest przecież jakby ostatnim pożegnaniem.

— A właśnie, właśnie... Czekaj — powstała naraz energicznie pani Ewa — płączę się zaraz telefonicznie z Warszawą i zawezwę Stadnickiego do telefonu. Ostatecznie należy raz na zawsze wyjaśnić to wszystko. Skoro zrywa on z tobą z przyczyn na ogół tak bezsensownych, niechże przynajmniej nie każe jeszcze odpowiadać sobie na impertynencki list.

— Ależ mamó... — uleka się energii matki Lila.

— Pozwól mnie działać, córuś, bo jeśli ja tego węzła gordyjskiego nie przetnę raz na zawsze, ta komedio - tragedia grana może być w dalszym ciągu kosztem twojego spokoju i zdrowia. A mam cię jedną na świecie... — dodała z dużą melancholią w głosie matka.

Lila nie próbowała już więcej oponować.

Zamówiona rozmowa długi czas nie mogła być uzyskana. Lecz pani Ewa zdobyła się na cierpliwość i postanowiła czekać choćby całą dobę, aby ostatecznie ze Stadnickim się rozmówić i wszystko wyjaśnić. W końcu odezwał się przecież dzwonek telefonu i pani Ewa, pozamykawszy wszystkie drzwi do przedpokoju, usiadła przy telefonie.

W słuchawce rozległ się czyjś męski głos.

— Czy pan porucznik Stadnicki przy telefonie? — zapytała pani Krupińska, bo jej się wydało, że to czyjś obcy, nieznaną jej głos.

— Tak jest, pani... Kto mówi? — usłyszała odpowiedź.

— Mówi Krupińska z Łodzi, ale... czy to rzeczywiście pan Stadnicki?

— Czy pani mnie nie poznaje? Tak, to ja, Jerzy Stadnicki.

Pani Ewa rzeczywiście nie poznawała głosu porucznika, bo głos ten był jakiś inny, jakoś inaczej brzmiał. Ale przyszło jej na myśl, że zmiana głosu u Jurka mogła nastąpić skutkiem przebytej niedawnej choroby, więc pozbywając się skrupułów, spytała znowu:

— Czy pan wysłał ordynansa z listem do Lili?

— Tak jest — usłyszała krótką odpowiedź.

— Rzeczywiście pan zrywa dla przyczyn tak nieokreślonych i błahych?

— Tak jest, pani.

— Panie Jurku — zaczęła łagodniej pani Ewa — bardzo mi przykro, że pana interpeluję w tej sprawie, bo nie powinnam właściwie tego robić, ale pan rozumie... Lila jest jedyną moją pociechą, jedynym kochaniem, dla którego gotowa jestem wszystko uczynić, aby zapewnić jej lepszy udział w życiu, niż mój.

Urwała na chwilę, oczekując jakiegoś usprawiedliwiającego słówka, wytłumaczenia, ale porucznik milczał. Więc podjęła znowu:

— Więc pan zrywa... zrywa pan i nie próbuje nawet osłodzić przykrości zerwania, tak bolesnego dla Lili, a — śmiem sobie tu-

szyc równie i dla pana — żadną uwagą, choćby ona nawet była nieprawdziwą, żadnym wytłumaczeniem?

— Łaskawa pani, ja nie mam nic do wytłumaczenia — odrzekł porucznik tym samym łagodnym, do gołębiego gruchania podobnym głosem, co panią Ewę najbardziej właśnie uderzało i w tej chwili przyszło jej równocześnie na myśl: — „gdzie ja słyszałam już podobny głos? Kto takim głosem przemawiał do niej i kiedy?”

— Nic pan nie ma do wytłumaczenia — powtórzyła spokojnie — to dziwne... Czemuż przeto kazał pan swojemu posłowi czekać na odpowiedź na list swój, który jest listem pożegnania?

— Ordynans mój musiał się przesłyszeć — usłyszała odpowiedź w słuchawce, — gdyż ja nie kazałem mu wcale czekać na odpowiedź.

— W takim razie mógł pan wysłać ów list pocztą, co bardziej byłoby na miejscu, bo przynajmniej obecność pańskiego wysłannika nie byłaby Lili przypominała pana — rzuciła już napół gniewnie pani Ewa.

— Mogłem... — padło niewyraźnie wypowiedziane słowo, jakby w alteracji.

— Tak, mógł pan — powiedziała z naciskiem Krupińska — mógł pan, a jednak nie zrobił pan tego, ale przysłał pan specjalnego posłańca i kazał mu pan czekać na odpowiedź, to właśnie najbardziej mnie zastanawia, bo o ile pana znam, a pochlebiam sobie, że znam pana od dziecka, nie mogłabym go nigdy posądzić o podobną niedelikatność i to w podobnej sprawie.

W słuchawce nikt nie odpowiedział, natomiast nastąpiły jakieś tarcia, trzaski i połączenie się przerwało. Pani Ewa spróbowała na nowo nawiązać kontakt, ale Warszawa oznajmiła, że rozmowa skończona, gdyż wywołany numer nie odpowiada więcej. Krupińska usiadła ciężko na krześle, wspierając głowę na dłoniach i zamysliła się, zastanawiając się nad co tylko przeprowadzoną rozmową. Świadomość czegoś niejasnego i niepojętego zaczynała ogarniać ją coraz bardziej. I coraz bardziej budziło się w jej umyśle podejrzenie, że jednak tym rozmówcą jej warszawskim nie mógł być Stadnicki. Znała go ona przecież tak dobrze, prawie od małego dziecka, bo nawet spokrewniona była ze Stadnickimi i częstym tam bywała gościem, znała Jurka zawsze jako dżentelmana, który nawet wtedy, gdy wyrządził komu mimowolną przykrość, nie zapomniał nigdy o dobrych formach towarzyskich, a tym czasem... Nie, tak nie mógł się zachować Stadnicki, właśnie Stadnicki... Każdego innego mogła o to posądzić, ale nie jego i to pomimo przykrości, jakiej nie oszczędzono mu z tymi jakimiś tam zaginionymi papierami, pomimo choroby i zerwania wszelkich stosunków z jej domem.

— Coś w tym musi się kryć, coś takiego, czego nie można chwilowo zgłębić. Ale co w tym wszystkim może się kryć? — myślała. — Jaka zagadka? Czyżby i tu odgrywał albo chciał odegrać rolę Borowicz?

To nazwisko, wypowiedziane półgłosem, wpadło w zgorączkowany umysł pani Ewy nagle, zupełnie nagle, chociaż przecież ona je wypowiedziała, a wypowiadając je — musiała wszakże o nim myśleć. I pod wpływem tego nazwiska zrodziły się prawie równocześnie nowe myśli.

— Borowicz — Borowicz? Kim jest ten człowiek? Dlaczego usiłuje opętać i mnie i moje dziecko? — myślała. — Czy on rzeczywiście spotykał się tam gdzieś na szerokim świecie ze Stasiem? A jeśli spotkał się, co jest bardzo prawdopodobnym, to jaką rolę w życiu tego nieszczęśliwego rozbitka odegrał?

Pani Ewa siedziała wciąż nieruchomo przy stoliku na korytarzu i rozmyślała nad tymi wszystkimi sprawami, tak niezwykłymi, które nagle dziać się zaczęły pewnego dnia około nich i w ich domu. Takie to wszystko było niezwykle, takie dziwne! I kto by przypuścił, że takie historie są możliwe w Łodzi, w mieście tak wielkim, w ośrodku kultury, w centrum państwa europejskiego i cywilizowanego? A jacyś niezwykli prześladowcy, dla ukrytych celów, mogą grasować bezkarnie, choć działają jawnie i na oczach władz?

Powstała ciężko z miejsca z twardym postanowieniem wypowiedzenia walki tym wszystkim wrogom, którzy osaczyli jej dziecko i próbowali oderwać je od niej, sprowadzić na jej głowę, być może, nawet nieszczęście, zgotować mu los bynajmniej nie godny zazdrości.

— Liluś — rzekła matka, całując córkę w czoło — napisz zaraz odpowiedź Jurkowi, załącz mu list jego i spytaj, co to wszystko ma znaczyć. Jeżeli wszystko to jest tylko czymś szatańskim wymysłem, Jurek przyjedzie i wtedy... wtedy zczynimy wspólną walkę przeciwko prześladowcom, przeciwko temu tajemniczemu Borowiczowi, który nie wie gdzie skąd przybył i nie wie, jakie ma cele.

— Dobrze, mam, dobrze — odpowiedziała Lila. — Jestem najmocniej przekonana, że Jurek nie mógłby napisać podobnego listu, chociaż charakter pisma jest jego. Tu coś innego, coś dziwnego i niezrozumiałego dla nas kryć się musi.

## XIV.

## Salonowa kawiarenka.

Oleś Barłamp był synem zamożnego przemysłowca łódzkiego, robiącego jak się to popularnie mawia w polskim Manchesterze — w trykotach. Po skończeniu szkoły średniej i wydziału ekonomii politycznej na uniwersytecie, stary pan Hieronim Barłamp miał nadzieję, że najmłodsza latorośl jego rodu stanie mu się wyjątkiem w prowadzeniu przedsiębiorstwa i fabrykę podniesie, wytwórczość i zbyt towarów udoskonali, gdyż Oleś zdradzał w tym kierunku wprost nadzwyczajne zdolności. W krótkim czasie jednak o-

kazało się, że stare ojczyisko bardzo boleśnie zawiodło się w swoich rachubach na syna, gdyż ten, mimo niewątpliwych zdolności, bynajmniej nie zdradzał najmniejszej chęci do „robienia w trykotach”. Nad nudne cyfry i jeszcze nudniejsze kłopotanie się sprawami finansowymi, przekładał wolne życie i sporty, a działo się to tak długo, dopóty nie odkrył w sobie żyłki wywiadowczej. Stało się to zaś zupełnie przypadkowo. Pewnego razu zobaczył na ulicy gościa, który przy całej swej przeciętnej postaci i mniej niż przeciętnym ubraniu, miał na sobie wspaniałe futro. Gość ten wydał mu się podejrzanym. Zwrócił zaraz uwagę na niego spotkanemu przypadkowo starszemu wywiadowcy Urzędu Śledczego Kulce i w konsekwencji okazało się, że ów tak pięknie posiadający futro gość, to zdawna poszukiwany międzynarodowy „szczer hotelowy”. Innym razem, przechadzając się po Piotrowskiej — zwrócił uwagę na nowiuteńkie lakierki przechodzącej damy. Po bliższej obserwacji oddał ją w ręce policjanta, który odprowadził ją na komisariat. Elegancka okazała się poszukiwaną złodziejką „szopenfeldziarką”. Te i inne wypadki zwróciły uwagę władz na zdolności śledcze wesołego bibo-sza i próbowano zaangażować go do służby śledczej. Ale Oleś odmówił. Wolał na własną rękę, jako wolontariusz od nikogo niezależny, dalej uprawiać sport wywiadowczy. Jego sukcesy śledcze stały się z miesiąca na miesiąc coraz głośniejsze, a liczba spraw, w których był angażowany, dość wielka. Później jednak wesoły Oleś, jak go popularnie nazywano, spostrzegł się, że angażowanie się do drobniejszych spraw zabiera mu tylko wiele niepotrzebnej straty czasu, wobec czego zaczął przeprowadzać selekcję w sprawach, do których go zapraszano i pozostawiał sobie tylko takie, które były specjalnie trudne do rozwikłania. W swej pracy uznawał za godnego siebie tylko jednego pomocnika, a to starszego wywiadowcę, Kulkę. Z nim też przeprowadzał wiele spraw trudnych, nieraz takich, o których nawet stary lis, jak komisarz Krajewski, zwątpił.

— Za panem, panie Olesiu, chodzi szczęście, jak cień za człowiekiem w dzień słoneczny — powtarzał mu też nieraz komisarz, gdy Oleś przybywał z nieodstępnym Kulką, aby zdań końcowe sprawozdanie z działalności w tej lub innej sprawie.

— Łut szczęścia więcej jest wart w życiu, niż fortuna — odpowiadał na to Barłamp. — A poza tym, trzeba umieć nawet z najnikczemniejszych rzeczy wyciągnąć właściwe wnioski.

Harmonijną współpracy między Olesiem a Kulką była prawdziwym biczem bożym na wszelkiego rodzaju przestępców, których wielkie skupiska ludzkie miewają nieraz aż nadmiar.

Ale do sprawy Borowicza Barłamp zaangażowany został ze strony zgoła innej. Pewnego dnia otrzymał telegraficzne wezwanie od swojego przyjaciela z ławy szkolnej, kapitana Olśnickiego, aby przyjechał koniecznie i natychmiast do Warszawy. Nie wiele się namyślając, Oleś kazał oporządzić swój Mercedes-Benz i naładowawszy dostateczną ilość benzyny, dał gazu i pomknął do Warszawy. Tutaj spotkał się z Olśnickim w jego mieszkaniu i wysłuchał cierpliwie bardzo ciekawego opowiadania o wypadku z planami inżyniera Kosibowicza, w kradzież których wplątany miał być Stadnicki.

— Właśnie przez wzgląd na Jurka — mówił kapitan — który teraz leży bez duszy w szpitalu w jakiejś tajemniczej chorobie, a nad głową ma zawieszony miecz ciężkiego oskarżenia o zdradę i szpiegostwo, pragnę cię prosić, mój Olesiu, abys zajął się tą sprawą. Stadnicki nie mógł dopuścić się przestępstwa, o które jest oskarżony.

— All right — odrzekł na to Barłamp. — Powiedzże mi jednak, mój kapitanie, jakie są twoje wnioski co do tej kradzieży? Boć mnie nie wydaje się wcale nawet prawdopodobnym, aby ktoś obcy mógł zakraść się niewidocznie do szefostwa, tak pilnie strzeżonego, i plany te wykraść.

— Tak, obcy nie mógł tego zrobić.

— Więc swój? Więc ktoś taki, kto musiał mieć dostęp do szafy z aktami z tytułu rangi czy swej funkcji?

— Tak, takby należało przypuszczać.

— All right! Skomunikuję się z władzami sądowymi wojskowymi i jeżeli te zechcą ułatwić mi zadanie, spodziewam się, że w niedługim czasie uda mi się może rozwikłać tę tajemnicę.

— Na jedno jeszcze pragnę zwrócić twoją uwagę — odezwał się poważnie kapitan — a mianowicie: ten, kto plany te wykradł, usiłował wplątać w aferę Stadnickiego. Widać bardzo zależało mu na tym. A przecież Jurek prawie nie miał tutaj żadnych wrogów, zresztą znasz go doskonale.

— Tak, znam go, przecież to mój bezpośredni dowódca z czasu odbywania służby wojskowej w swoim czasie, a następnie zażyły druh. Parokrotnie popiliśmy zdrowo w Łodzi i zabawiliśmy się setnie.

Po tej rozmowie Barłamp udał się do władz wojskowych, do bezpośrednich przełożonych Stadnickiego, do prokuratora i sędziego śledczego, długo z nimi konferował, naradzał się, badał i wszedł, nie ominął nawet ordynansa Żymelki ani dozorey domu, w którym mieszkał porucznik i inżyniera Soreckiego, znanego okultysty i jasnowidza, po czym znowu napelnił baki swojego wozu benzyną i piorunem pomknął do Łodzi, aby tutaj naradzić się z koleją z Kulką. Po tej naradzie, jak to już widzieliśmy, obaj udali się pod pałacyk Rostafińskich, aby posłuchać rozmów między sobą przemysłowej delegacji hinduskiej i spłoszeni zostali przez Dario, który przypadkowo tylko znalazł się w miejscu ich czatów i spłoszył ich.

Potężny, baczysty Hindus zorientował się w jednej chwili, że ci dwaj uciekający ludzie nie musieli tutaj przyjść z dobrymi zamiarami, więc rozpuściwszy swoje długie nogi, pognął za nimi przez park.

Kulka, tak na oko niepozorny i nikczemnej konstrukcji, okazał się, przy swoich innych zaletach, również i doskonałym biegaczem. Zerwawszy aparacik podsluchowy, pomknął przodem jak ścigany jelen, chwilami tylko oglądając się za siebie, czy przyjaciel goni za nim. Tak dopadli parkanu, wysokiego na blisko dwa metry. Kulka poderwał się w biegu i skoczył na parkan, a w następnej chwili był już po drugiej stronie. Barłampowi szczęście jednak nie dopisało. Wprawdzie i on znalazł się prawie tuż za Kulką na parkanie, ale trzaśnięty jakimś potężnym drągiem przez czerep, spadł na ziemię jak gruszka z drzewa strzaśnięta. Od tej chwili nie pamiętał, co działo się z nim. Obudził się dopiero, z przykrym bólem głowy, na kupie jakichś odpadków bawełnianych, w jakiejś ponuro wyglądającej ciupie. Rozejrzył się ciekawie dokoła i gwizdnął przeciągle, ale prawie natychmiast syknął z bólu. Po tym zaczął się zastanawiać nad tym, skąd on się tutaj wziął, i co w ogóle działo się z nim.

— Żyję więc — rzekł do siebie w końcu — a to grunt. Póki życia, póty nadziei, bo później — szkoda lez twoich dziewczyno — nie warto nawet myśleć o tym.

Spróbował powstać, ale pierwsza próba zawiodła. Podniósł się tylko na łokciu i znowu padł bezwładny na barłóg z odpadków bawełnianych.

— Śliczności położenie — rzekł głośno — oto skutek wtrącania się do cudzych interesów... Gdybyś był misiu w mateczniku siedział... Psiakrew, jak ten czerep mnie boli!

Pomacał głowę i spostrzegł na palcach krew.

— Uczciwie mnie kropnął, ani słowa. Jeszcze odrobinę, a nadobne moje zwłoki mogłaby kochana rodzina oblać rzewnymi łzami. Zamieszczonoby sążniste nekrologi, opisanoby moje życie z wszelkimi szczegółami spraw, w których brałem udział i o których w życiu nie słyszałem, a potem — łopata poniżej krzyża i chodaj bracie do mogiłki.

Znowu się dźwignął i tym razem udało mu się usiąść. Ale w głowie wciąż huczało, jak w żarnach.

— Cudowny bałaganik mam pod czaszką — mruknął — mam wrażenie, że odbywa się tam jakiś wiec polityczny, na którym nikt nikogo nie rozumie.

Potem przypomniał sobie, punkt po punkcie, całą przygodę pod pałacem Rostafińskich, posłuch, najście Dario, ucieczkę, aż do chwili, gdy wisiał już na parkanie i jeszcze moment, a byłby się znalazł na drugiej jego stronie.

— Świnia Kulka — rzekł znowu — zostawił mnie na pastwę czort wie jakiego losu. Nie wiem, gdzie się znajduję, w czyich jestem rękach i co w ogóle ci nobliwi dżentelmeni zamierzają ze mną począć.

W tej chwili uszu jego dobiegły jakieś szmery wysoko nad głową. Urwał swój monolog i zaczął nasłuchiwać. Tak, tam ktoś chodził — Barłamp bardzo dokładnie rozeznął kroki ludzkie. Potem wszystko ucichło na jakiś czas, ale kroki znowu się dały słyszeć.

— Jestem zatem w piwnicy, albo przynajmniej na parterze jakiegoś budynku — pomyślał znowu Oleś i zrezygnowany, zaczął czekać, co z tego wszystkiego wyniknie. — Jak barana nie będą chyba mieli odwagi mnie zarznąć, bo kryminalik nie minąłby ich. Więc co?... Oby się tylko wydostać stąd, zanim oni dokonają ostatecznego osiedlenia tej biednej dziewczyny.

Gdzieś opodał zachrobotało coś, jak gdyby klucz w zamku. Oleś nadstawił uszu ciekawie. Tak, ktoś szedł w jego stronę, w stronę jego więzienia. Teraz Barłamp był tego pewien. Jakoż w parę minut później otworzyły się drzwi i na progu stanęła wysoka postać ludzka z maską na twarzy.

— Pójdź pan za mną — rzekł przybyły jakimś dziwnym, nie polskim akcentem.

— Najchętniej, łaskawco — odrzekł Barłamp, powstając z trudem z barłogu. — Przyznam się, że ta gościna niezmiernie mi się uprzvkrzyła.

Człowiek nie odpowiedział nic na to, ale przepuściwszy więźnia przed sobą, poszedł wolno za nim, pilnie bacząc na każdy jego ruch.

— Dokądże to raczysz mnie pan zaprowadzić? — spytał znowu Oleś.

Przewodnik wskazał mu jedne z drzewi na lewo, przez które weszli do takiej nory, jak poprzednia, z niej do jeszcze jednej, stąd na schody, prowadzące gdzieś na górę. Znaleźli się w ciemnym korytarzu, na który wychodziło kilkoro drzwi. Do jednych z nich podszedł zamaskowany człowiek i otworzył je, a następnie popchnął ku nim Barłampa i zatrzasnął za nim drzwi.

Oleś znalazł się w obszernej izbie, stanowiącej coś w rodzaju sali przyjęć w małych rozmiarach i ze zdumieniem zobaczył znok jakiegoś zamaskowanego mężczyznę, wpatrującego się w niego dziwnymi swoimi, zielonymi oczyma z takim uporem, jak gdyby chciał wydrzeć mu wszystkie myśli spod czaszki.

— Czy to z panem mam się rozmówić w sprawie niecnego napadu na mnie? — zagadnął Barłamp.

— Tak, panie — odrzekł dźwięcznym, melodyjnym głosem zamaskowany mężczyzna.

— Bardzo mi tedy przyjemnie — Barłamp jestem — przedstawił się Oleś.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale w dalszym ciągu wpatrywał się w więźnia, jak gdyby chciał go tymi oczami przeszyć na wskroś.

— Pozwoli pan, że usiądę — dobrze? — rzekł znowu Barłamp, siadając na jednym z najbliższych krzeseł. — Pański cerber,

boć chyba to jego służący, obszedł się ze mną wcale nie po dżentelmeńsku, jego uderzenie dotychczas czuję na mojej czaszce.

— Zasłużył pan na to — odrzekł człowiek w masce.

— Czy dlatego, że dałem się pociągnąć niewinnej namiętności zobaczenia, jak żyją duchy w opuszczonym pałacu Rostafińskich?

— Nie myśli pan chyba, że ja panu w tę bajeczkę uwierzę?

— Mianowicie, w jaką bajeczkę? Nie wiem, kim pan jest i czy pan jest „lodzermenszem”, człowiekiem miejscowym, ale myślę, że nie, bo gdyby tak było, powinienbyś pan wiedzieć, że pałac Rostafińskich od wielu lat już słynie z duchów, które w swoim czasie były największą sensacją Łodzi.

— Bardzo możliwe, ale nie wprowadzi mnie pan tą opowieścią w błąd, proszę mi wierzyć. Toż sam pan powiedziałeś, że nazywałeś się Barłamp.

— Czyż ja temu jestem winien? Nazwisko to pewnie nie wydaje się panu polskim, bo nie kończy się ani na icz, ani na ski, ale to nic nie znaczy. Toż oficer księcia Janusza Radziwiłła, o czym pewnie musiał pan czytać w sienkiewiczowskim „Potopie”, nazywał się Charłamp i był Polakiem, czemu ja nie miałbym być równie dobrym Polakiem, chociaż nazywam się Barłamp? Litera docet, litera nocet — rozmaicie na świecie bywa.

— Nie o to bynajmniej chodzi w danym wypadku, czy pan jest Polakiem lub nie, ale nazwisko pana zbyt popularne jest w Łodzi, zbyt wielu ludzi wie, co jest pańską namiętnością.

— O, to wcale nie tajemnica i gdyby pan był mnie odrazu zapytał o to, najchętniej byłbym mu odpowiedział. Ot, poprostu, z braku godziwszego zajęcia, pasjami lubię wszelkie niezwykłości. Dlatego to ogromnie zaintrygowały mnie duchy w pałacu Rostafińskich. Czy uważa pan, że takie zainteresowanie, z punktu widzenia tajemnic życia pozagrobowego, jest niewłaściwym?

Zamaskowany mężczyzna podsunął się do Barłampa tak blisko, że ten czuł dokładnie jego gorący oddech na swej twarzy.

— Panie Barłamp!

— Jestem do usług, ale nim dokończymy naszej tak ciekawej konwersacji, może zechciałby pan kazać podać mi coś do picia i jedzenia, bo taki jestem głodny, jakbym conajmniej od tygodnia nic w żołądku nie miał.

Nieznajomy zadzwonił, a gdy wszedł cerber, ten sam, jak Barłamp poznał, który go tutaj przyprowadził, wydał mu jakiś rozkaz ściszonego głosem.

— Małeńka uwaga — uśmiechnął się lekusiętko Barłamp — o ile zostałyby mi podany befsztyk, to zaznaczam, że lubię dużo cebuli, tak ładnie w maśle wysmażonej. Nie jestem wprawdzie żydem, której to nacji cebula jest przypisywana za przysmak narodowy, ale cebulę lubię.

— Dobrze — rzekł nieznajomy — otrzyma pan befsztyk z cebulą, ale na to musi pan jednak czas pewien poczekać. Tymczasem zaś możemy w dalszym ciągu prowadzić naszą rozmowę.

— Słucham pana z przejęciem. Widzę, że należy pan do porządnych ludzi, że jest pan dżentelmenem, a ponieważ ja osobiście bardzo lubię podobnych ludzi, mam przeto nadzieję, że konwersacja z panem będzie dla mnie rozkoszą.

— Panie Barłamp — po co pan był tam pod oknem tego wieczoru?

— Czyż nie odpowiedziałem panu już na to pytanie? Zdaje się, że była już między nami mowa o mojej pasji do wszelkich niezwykłości, tajemniczości, duchów, które czasem doskonale grają w baka i bridge'a, słowem do wszelkich rzeczy zaświatowych.

— Nie, pan tam był w zgoła określonym, ale też i całkiem innym celu, niż mnie pan usiłuje w dość lekkiej formie przekonać.

— Daruj pan, ale to już taka moja maniera, czy natura, że lubię wszystko, całe życie — na wesoło. Wie pan, znałem kiedyś niejaką pannę Śniegurównę, całkiem miłe dziewczęteczko, i wie pan, kobieciątko to także lubiło życie brać od strony wesołej. Każdego drugiego — trzeciego w miesiącu wydawała całą swoją miesięczną pensję, a gdy koleżanki zwracały jej uwagę na tę nieroztropność, odpowiadała zawsze beztrząską: „cóż chcecie, moje drogie, ja lubię życie brać zawsze na wesoło”.

— Z tego wnoszę, że nie sprawi to panu wcale żadnej trudności, jeśli znajdziesz się na brzegu Styksu, a stary przewoźnik Charon za jednego obola przewiezie pana... na wesoło — na drugą stronę rzeki?

— Czy pan lubi historię starożytnej Hellady? Wie pan, ja wprost przepadam za nią! Ileż tam mądrości życia, ileż tam piękna! Dzisiaj wprost pasjonuję się greczyzną, a w szkole...

— Wróćmy do właściwego tematu — przerwał mu nieznajomy.

— Przypuszczam, że wszelki temat, jaki w naszej tak miłej pogawędce poruszamy w obecnej chwili, jest właściwym tematem, czyż nie tak?

— Jest pan w małym błędzie.

— O, jeśli w małym, to cieszę się ogromnie. Więc proszę, o co szanownemu panu chodzi?

— Powiedziałem: znam pana z jego „zamiłowań niezwykłościami” i prawie wiem, po co znalazłeś się owego wieczoru pod oknami mojego domu.

— Ach, pod oknami pańskiego domu? W takim razie jest pan nie kim innym, jak szlachetnym doktorem wszechnauk lekarskich, mjr John'em W. Borowiczem. Czy tak, panie doktorze?

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Osobliwości Watykanu.

## Bezcenne skarby w murach stolicy apostolskiej.

Dziwne to jest państwo, w którym niema tramwajów i w którym autobusy nie hałasują i nie zatrują powietrza benzyną. Po przed-

W królewskim domu jest też pokój pracy. Widzimy w nim chińskie dywany i wspaniałe obrazy mistrzów na ścianach. W każdej z sy-

ty w luksusowych hotelach. Wszędzie marmur i przepych.

### Budynki państwowe.

Watykan liczy około 500 poddanych duchownego stanu. Posiada jednak własną pocztę, własne pieniądze, własny sąd, oraz własny „pałac rządu”.

Pałac rządu jest olbrzymim, jasnym budynkiem, z którego rozlega się klekotanie maszynek do pisania. Watykańskie pieniądze bite są nie „w kraju”, tylko w Rzymie. Budynek poczty urządzonej jest zupełnie współcześnie. Stoją tam połyskujące stoły; okienka i ściany są ze szkła wspaniale szlifowanego. Warto zaznaczyć, że znaczek na kartę pocztową z Watykanu do Rzymu kosztuje 50 centymów, marka zaś miejscowa w Rzymie kosztuje 15 centymów — dowód jasny, że Watykan jest zagranicą! Ma też Watykan własną stację i własny pociąg dla papieża.

A sąd tego państwa? Watykan ma rzecz prosta, tak samo jak każde inne państwo sąd dla spraw cywilnych i karnych. Trzeba dodać, że przed tym sądem karnym stawał dotychczas jeden tylko oskarżony. Był to cudzoziemiec, — mianowicie Włoch, który usiłował ukraść klejnoty, zdobiące jeden z ołtarzy. Cele więzienne mają światło elektryczne, są też starannie urządzone i napewno niejeden więzień zgodziłby się chętnie na odsiedzenie tu kary. Jak widzimy, i więzienie jest w Watykanie, natomiast nie ma tu wiele sklepów.

### Niezwykła taniość.

Właściwie mówiąc, jest jeden

sklep, którego Watykanowi zazdrości nawet Rzym. Mianowicie jest tam wielki sklep towarów kolonialnych, w którym wszystko jest niesłychanie tanie. Tak na przykład w Rzymie płaci się za kilogram cukru 6 lirów i 50 centesimi, natomiast obywatel Watykanu płaci za tenże cukier tylko jednego lira i 50 centesimi. Taka sama jest mniej więcej różnica w cenie innych artykułów spożywczych w Rzymie i w Watykanie. Bo Watykan nie zna ograniczeń celnych. Ale w takim razie każda gospodyni rzymska może sobie przecie przynieść towary spożywcze z Watykanu, odległego o parę kroków — pomyśli sobie czytelnik. Niestety, nie jest to takie proste. Przede wszystkim jest bardzo trudno dostać się do Watykanu. Państewko to bowiem otoczone jest wysokim murem, a przy każdej bramie czuwają gwardziści, którzy pilnie czuwają i nie wpuszczają nikogo, dopóki się nie dowiedzą kto, za czym, dokąd zamierza i tak dalej. Sami ludzie czuwają nad tym, aby z Watykanu nie wynoszono kontrabandy. Tak na przykład w Watykanie jest jedna tylko restauracja. Przed tym, gdy Watykan nie był jeszcze samodzielnym państwem, można było wejść do tej restauracji i spożyć obiad w otoczeniu papieskich gwardzistów. A dzisiaj? Dzisiaj przed jadalnią stoi gwardzista i poucza każdego, że wstęp do tego lokalu mają wyłącznie obywatele i mieszkańcy Watykanu. Restauracja ma tylko mniejszą salkę dla służby i większą salę, w której pożywiają się gwardziści.

### Jedyna fabryka.

Niema tu fabryk, niema sklepów, i prawie niema kobiet. Jeśli spotkamy niewiastę, to jest ona ciemno ubrana, ma długie rękawy i nie nosi wycięcia przy szyi.

Jest w Watykanie jedna fabryka, ale za to najpiękniejsza na świecie. Jest to fabryka mozaiki, która została założona przez papieża jeszcze w piątym stuleciu. W fabryce tej, za siatką, zamknięte w tysiącach maleńkich przegródek leży 28.500 prześlicznych drogich kamieni. Najwspanialsze, największe malowidła mistrzów malarstwa, kopiuje się tu w mozaice. Widzimy więc obrazy Rubensa czy Tycjana, podziwiamy je dopiero po bliższym rozpatrzeniu, przekonywujemy się, że obraz wykonany został z mozaiki. Specjalista kraje tu kamienie, szlifuje je, przymierza, dopasowuje, układa — i wreszcie z tych kamyków, mniejszych niż główka od szpilki, powstaje po roku albo dwu latach żmudnej pracy prześliczna głowa Madonny. Praca jest żmudna ale wyniki jej wspaniałe. Na jednym krążanku wiszą portrety wszystkich papieży. Wędle tych portretów wykonane zostały następnie portrety mozaikowe umieszczone w bazylice świętego Pawła.

### CZYTELNICZY „Ilustracji Polskiej”

otrzymają bezpłatnie broszurę z opinją lekarzy całego świata, jak można odmłodzić się i zupełnie wyleczyć się z zaziębienia, reumatyzmu, kataru kiszek, artretyzmu, choroby nerek, trawienia, złego obiegu krwi, niemocy płciowej, rozstroju nerwowego, bezsenności i in. — — —

Piszcie do nas po polsku na adres:  
N. KALEFLUID,  
66, Bld. Exelmans, 66. — Paris (16<sup>e</sup>)



Widok na Watykan z bazyliką św. Piotra w środku.

zeniu swego dowodu osobistego przechodzi się przez cienistą bramę i staje się w blasku słońca wśród murów, z których zwieszają się wspaniałe rośliny. W pierwszej chwili podróży jest literalnie oszalałony bogactwem kwiecica, wspaniałością olbrzymich ogrodów.

Szczególną osobliwością Watykanu jest tak zwany „dom królewski”, przeznaczony za mieszkanie dla obcych monarchów, gdy tu przychodzą z wizytą. Wartość dzieł sztuki, które tu zgromadzono, nie da się wyrazić żadną sumą pieniędzy. Oryginały obrazów Rubensa i Van Dycka, rzeźby Berniniego i innych wielkich mistrzów zapelniają wspaniałe komnaty. Sufity zdobione są szczerym złotem. Na samo zdobienie sufitów zużyto 64 kilogramy złota. Wszystkie podłogi i wszystkie odrzwia zrobione są z najpiękniejszego marmuru afrykańskiego, który został oszlifowany w sławnej fabryce w Mediolanie.

W sali tronowej stoi piękny tron. Nie jest on jednak ocieniony baldachimem, ponieważ król przybywający tu bywa jedynie gościem kogoś, kto dla każdego chrześcijanina stoi jako zastępca Chrystusa na ziemi, wyżej od każdego króla świeckiego. Ściany są purpurowe, obciążone najwspanialszymi tkaninami, sprowadzonymi z Damaszku. W królewskim domu jest jeden pokój bawialny, gdzie meble są obciążone takim aksamitem, jakiego się dzisiaj w ogóle nie wyrabia. — Przed setkami lat wykonano ten aksamit w fabrykach pod Genuą. Jest to tkanina w precudownych pastelowych odcieniach. Tło jest niebiesko-zielone, a po nim rozrzucone są bukiety delikatnych kwiatów o barwie laku, które mieniają się jak żywe kwiaty w kroplach rosy. Podobno tylko jakiś Amerykanin posiada jeszcze kawałek takiego aksamitu, który trzyma pod szkłem ze względu na jego kolosalną wartość. Papież posiada cały garnitur tych mebli. Aby ochronić cenną tkaninę, sporządzono na te meble specjalne skórzane pokrowce.

W królewskim domu jest też pokój pracy. Widzimy w nim chińskie dywany i wspaniałe obrazy mistrzów na ścianach. W każdej z sy-



Wejście do celi więziennej w Watykanie. Ciepła, jak widać, zaopatrzona jest w centralne ogrzewanie.

# Poezje naszych Czytelników i Czytelniczek.

## Kraju ojezysty!...

O kraju, kraju, ty Polsko kochana,  
Przez odwiecznych wrogów jesteś  
[rabowana,  
Tak Ciebie zniszczyli, tępiąc naród wierny.  
Przyszłość lepszą będzie, bo Bóg  
[miłosierny.

Ci, co się do Ciebie odnoszą tak wrogo,  
Będą pokonani, zapląca nam drogę!  
Ciebie odbudują, staniesz się wieczysta,  
Bo Twój naród wierny, jego wiara czysta.

Chociaż naród polski jest tak zastroskany  
Wróg nieprzejednany będzie pokonany.  
Za mękę krwi i lez strumienie,  
Otrzymasz, Ojczyzno, zadość uczynienie.

Szczepan Grzegorzek,  
żołnierz 2 p. p. Armii Polskiej  
we Francji.

## Nasza Armia.

Ta polska armia, co jest już we Francji  
To jest dla przyszłości Ojczyzny

Polak każdy gotów walczyć jest dla  
[gwarancją  
[Sprawy,  
Za Ojczyznę drogą, dla Jej przyszej  
[sławy.

Nasza polska armia ma do boju ruszyć,  
By wroga pokonać, jego przemoc skruszyć  
W szeregi Polacy, i bądźmy gotowi.  
Do marszu, do boju pójdziem ku  
[Wschodowi.

Kiedy nasza armia ruszy od Zachodu,  
Nie będzie już dłużej wróg gniebił narodu.  
Gromadźmy się żywo, bo czas nam ucieka  
Nasza Ojczyzna wyzwolenia czeka...!

Szczepan Grzegorzek,  
2 p.p. Armii Polskiej we Francji.

## Za ciebie, Polsko!...

Cesarzu! To oni... Polacy, wstuchani  
Twój głos,  
w Tobie ich marzenia, w tobie Polski los.  
"Vive l'Empereur!" — leci okrzyk, ze  
stoków Somo-Sierry.  
Ich krew otworzyła Madrytu bramy...  
Takie ich ofiary.

Choć nadeszły dni klęski, Polacy się bili...  
Polak słowa nie łamie! Wierny do  
ostatniej chwili.

Z Tobą poszli na tułaczkę, na nowy trud  
i znój

Lecz za Ciebie, Polsko, szły Legiony w bój.

Smily serca Polaków, ojczyzny odrodzenie  
W Listopadową Noc, poszli ślać innym  
wierzenie,

Ze gdzieś jeszcze pod popioły,  
Tli iskra wolności — powstaną orły.  
Pamiętne światu: Grochów, Olszynka —  
Pułk czwarty,

Nie zna klęski... „To nie ludzie —  
Moskal ryczy — lecz czarty!”  
Wawer, Dęby, tam polski żołnierz walczy,  
Za wolność i równość braci — „Z tarczą  
lub na tarczy,

Wraca do Warszawy; lecz nie jest nam  
sądzona

Być ludźmi wolnymi. O chwile nieszczęsne  
dni walk utracone!...

Prez ze s'abością! inna nam będziesz,  
dolo,

Pomimo Ostrołęki, Polskiego Waterloo...  
Padła Reduta Ordona — ginie Sowiński  
na Woli.

Za Ciebie, Polsko! Ciało w pętach, lecz  
dusza nie uzna niewoli.

Powstanie znak. Wśród lasu mogli kopce  
Lub zdala widnieją, czarne szubienice.  
W Sybir pognali. Uczucia depcze  
Moskala but.

A tych, co dojść nie mogli, zakatrupił  
knut.

Wybiła Godzina Dziejowa, powstał Polski  
Lud

Z krwi dziadów — ojców — powstałaś  
Polsko wolna — nieśmiertelny cud

Za hańby, sprofonowane modły w kościele,  
z krzywd i bólu wyrosli mściciele.

Garstka ich była... „Szaleńcy!” —  
z ironią mawiano...

Nie bacząc, że takie im nadano miano  
Z Oleandrów na Kielce z swym dziadkiem  
na czele,

Poszli rwać pęta, zrywać niewolę.  
Za ciebie Polsko! rzucili na stos,  
Swoją życia los...

Tak niegdyś walczyli Dziady, Ojcowie. —  
Dziś my, żołnierze.

Potomki tamtych, krew niesiem Ci,  
Polsko, w ofierze.

I chociaż pozostaną po nas, samotne  
mogily

Będą się nad nimi, wolne Polki modliły.  
Śladem szaleńców my młody rój  
Za Ciebie Polsko idziem w bój!

Zyg. M-ski.

Trioux (M. et M.), w listopadzie 1939.

## Czasem . . .

Czasem zabłyśnie iza w oku  
Wśród gwarów miłej zabawy,  
I smutek jakiś mą duszę otuli  
Swym płaszczem tęskno — mgławym...—

Czasem zadzwoni w sercu tęsknota  
W zmrroku wieczornym, szarym —  
I dusza wstała nad płowe pola...  
Gdzie urok... uciszył gwary. —

Czasem znów smutki rozpędzi  
Radość nieznaną, tęczowa  
I złotą nicią się przędzie  
Młodego życia osnowa...

Wojechieh Augustyn, Bollwiller.

## Śniło mi się!!!

Śniła mi się dziś wieś ma rodzinna.  
Widziałem w niej wiele chat spalonych.  
Ludność wioski była jakoby inna;  
Brak w niej było lic rozweselonych.

Wiele płaczu słyszałem tam w chatach,  
Wdów i sierot, zobaczyłem krocie,  
Lud wychudły i w żałobnych szatach,  
Cmentarz zwiększony był o wielokrocie.

Nasz kościółek widziałem tam pusty;  
Księdza — starca zabrali nam Niemcy,  
Grabiąc mienie wśród orgij rozpusty.  
Ci ohydni kaci — cudzoziemscy.

Potem widzę znów... zmianę radosną;  
Orzeł Biały wznosił się ponad ziemię.  
Niemcy pierzchli, gdyż już wczesną  
Przyszła Armia z Francji zgnać

[wiosną  
[pruskie plemie.

Radość wielka w mej wiosce powstała;  
Z Francji Armia do Polski przybyła.  
Jak radośnie ludność ją witała!  
Polska wielka na nowo odżyła.

Jan Cieślak, Billy-Montigny.

## Bóg nam pomoże.

Płacz się na ziemi rozlega,  
Tysiące modlitw ku Bogu się wznosi.  
Ciemność wojenna szmat ziemi zalega.  
Lud Polski Boga o wolność prosi.

Lecz gdy na ziemi jest Polska w żałobie,  
Za to tam w niebie, jest wielkie wesele;  
Że męczenników wielu leżą w grobie,  
Że świętych Polska wydała tak wiele.

I tam, u Boga, w wielkim majestacie  
Siedzą Polacy — męczennicy święci!  
A jaśniejące są wszystkich postacie  
I uroczą się w niebie przyjęci.

Polska, jak Chrystus dziś spoczęła

[w grobie,  
Po to, by wskresnąć znów w wieczystej  
[chwale,

By radość była dla nas po żałobie,  
Aby w przyszłości jaśniała wspaniale.

To, co się stało, widać, stać się miało,  
Gdy niezbadane są wyroki Boże.  
W przyszłość, Polacy, patrzmy jednak  
[śmiało,

Gdyż Polsce Bóg dopomoże!  
Jan Cieślak, Billy-Montigny.

## Smutno mi Boże!...

Smutno mi Boże tutaj na Zachodzie,  
Kiedy nadchodzi wieści z mej Ojczyzny,  
Że Niemcy niszczą nasz polski łąn żywny,  
Że lud się tuła o chłódzie i głódzie,  
Że rolnik niwy swojej już nie orze,  
Smutno mi Boże!...

A kiedy czytam tutaj na obczyźnie  
[polską gazetę,

Która, coraz wieści przynosi straszniejsze  
Że Niemiec męki coraz okrutniejsze  
W Polsce braciom zadaje, bije dziecko,  
[kobietę.

To, chociaż wierzę, że błysną nowe,  
[zwycięstwa nam zorze,  
Dziś jednak, smutno mi Boże!...

Kiedy wieczorem po skończonej pracy.  
Chcę słuchać, wieści jakiejś dobrej, nowej,  
Z mej małej skrzyneczki radiowej  
Często głos wrogów słyszę z polskiej  
[stacji.

I kiedy pomnę, że tak jesteśmy w pokorze,  
To choć zdrow jestem, lecz smutno mi  
[Boże!...

Kiedy na mapę wzrok rzucę niechęcąc  
I go zatrzymam, na naszej krainie;  
Nam drogą Wisły i Warty dolinie,  
To wtedy mówię do swoich placząco,  
Choć potem idę w wygodne łoże,  
To płaczę, bo smutno mi Boże!...

Czasem, gdy marzę o wiejskim  
[cmentarzu,

Gdzie leżą moi rodzice kochani  
Myślę, że przez Niemców są  
[sprofanowani.

Wtedy rozpacz składam na Polski ołtarz,  
Lecz mnie to boli. Więc zamknę  
[w komorze,

I płaczę, bo smutno mi Boże.  
Jan CIEŚLAK.

## Wodzowi Naczelnemu.

(Ochotnik Armii Polskiej poświęca.)

Na Twoich barkach spoczywa  
los nieszczęsnej Ojczyzny,  
więc serca Ci trzeba z granitu,  
nerwy odporne ze stali,  
byś rany zacierał i blizny  
i wrogiej opierał się fali . . .

My z Tobą wszędzie, dla Ciebie  
wszystko. Tyś tarczą Opieki,  
gdy Wolność Narodu na niebie  
zabłyśnie jak gwiazda lśniąca  
i tak pozostanie przez wieki  
nieśmiertelna — nieprzemijająca . . .

Krew naszych braci, co płynie  
w Kraju wielkimi strugami  
będzie w bojach pomszczona.  
Przez Ciebie ku chwale wzniesiona  
Polska NIGDY nie zginie!!!  
i złotymi się wpisze zgłoskami.

Paweł Akselrad, Meillouns (Ain).

## Do Ojczyzny.

Hen daleko, hen daleko,  
Tam, gdzie ranne wstają zorze,  
Tam Ojczyzna ma kochana  
Tęsknię za nią ach, mój Boże!...

Daleko, daleko —  
Hen, gdzieś za górami,  
Tam moja Ojczyzna  
Z mymi rodzicami.

Daleko, daleko —  
Hen, gdzieś za lasami,  
Tam moja Ojczyzna  
Z Braćmi i Siostrami.

Daleko, daleko —  
Hen, gdzieś za morzami,  
Tam moja Ojczyzna,  
Z mymi Rycerzami.

Z mymi Rycerzami.  
Którzy już śpią w grobie,  
Swe życie młodzieńcze  
Dały Polsko, Tobie.

Do Boga modlitwy  
Za Nimi zanoszę,  
I o Zmartwychwstanie  
Mej Ojczyzny proszę.

Cześć Ci, Polska Ziemię,  
Cześć Ci, Polski Ludu,  
Żeś w walce o Polskę  
Dokonywał cudu.

Boksówna Emilia,  
La Croix.

## Pożegnanie.

Bądź zdrow, o luby kraju mój,  
Rodzinna moja ziemię,  
W której ujrzałam pierwszy światła  
[blask,

Gdzie prochy ojców drzemią!

Bądź zdrow, o luby kraju mój,  
Zegnać się z tobą trzeba,  
Z tych drogich progów idę w dal,  
Pod obce idę nieba.

Drzewa i kwiaty, zęgam was!  
Zęgam cię, moja rzeko  
Niechaj twój znany, słodki szmer  
Dobiega tam daleko:

Ptaki! uroczą wasza pieśń  
Wieczorną znów godziną,  
Będzie mi znów w sercu brzmieć  
I z oczu łyzy popłyną.

Już nie zaszumi ciemny las.  
Tam, gdzie mój głos przelata,  
Lecz pamięć dojdzie ze mną wraz,  
Choćby na krańce świata.

I będą chmurne moje dni  
Wyzłacać wspomnień smugą.  
Bądź zdrow, o luby kraju mój.  
Na długo, ach na długo!...

Nadeszła: Helena Kościółek  
Bollwiller, Haut - Rhin.

## Do Matki, która pozostała w Kraju.

Pamiętasz przecież:  
ranek zabłyśnięt słońcem  
i lekki wiatr snuł melodię...  
A — potem

granat, jak pięść, zawisł na oczach  
i było strasznie...  
Oddaliłem

reć od mego czoła — były ciepłe...  
Twe ręce, mammo były daleko...  
Łzy spadły, tak jak dziecię  
płakałem...  
Mamo —

wieczorem wiatry z nad morza śpiewają  
[o Tobie...

Głos Twój w głosach drzew  
zawsze płacze —  
jam jeszcze taki mały  
Mamo!... ma... mo!  
ma...!

Piotr Guzy,  
Obóz Wojska Polskiego.

## Żeromski.

Serce! Na co dziś komu to zwietrzałe  
[słowo,

Serce, gorące, drogie, płonące ogniami,  
Jakżeż dziś biedne wśród tyłu ludzi

[nowych  
Depczących, torujących drogę swą  
[łokciami

Duszo, dziś — panowanie Twoje się  
[skończyło

Bo rzeczywistość Bogiem a użycie celem,  
Lecz choć tak beznadziejnie EUROPA

[się stoczyła  
Igrzyska męczeństwa w Kraju wśród  
[cezarów w cyrku dawnym Rzymu,

POLSKA WZNIOSŁOŚĆ POETY  
[tak godnie uczciła!

Olga Ob...

Les Coteau de St. Cloud (S. et O.)

## Idzie nowa siła . . .

Jeszcze żeś, Polsko, nie zginęła,  
Do obrony Ciebie idzie nowa siła,  
Niech się nie cieszą, Szwaby i Moskale,  
Mordercy Polski, piekielni szakale.

Na bój, na bój krwawy,  
Staje żołnierz prawy,  
Aby bronić ziemi własnej broń ujął  
[w swe dłonie,

Nowa siła poprzez Berlin, pójdzie  
[wkrótce do Niej.

Jeszcze żeś, Polsko, życia nie straciła,  
Choć przeciw Tobie, dawne wrogi stają,  
Godzina porachunków jeszcze nie wybiła  
Bo z nową siłą, młodzi przybywają.

Na bój, na bój krwawy,  
Staje żołnierz prawy,  
Aby bronić drogiej Polski,  
Wkroczyć do Warszawy!...

Jeszcze żeś, Polsko, nie zginęła,  
Chociaż w kajdany znów jesteś okuta,  
Powstaniesz znowu, wiecznie będziesz  
[żyła,

Zceźnie krzyżacka złość, przemoc i buta!  
Na bój, na bój krwawy,

Staje żołnierz prawy,  
By pokazać światu dziwy,  
Że Naród jest żywy!...

Henryk Wilczyński.

## Przekleństwo.

Przeklęta Germanio, okrutna pogańska!  
Od wieków już gwałtem się chlubiysz...  
Lecz na nic twa buta, twa wsćiekłość  
[szatańska

Narodu Polskiego nie zgubisz!

Bo Polak to posąg, wykuty z granitu,  
Którego i burze nie zniszczą!  
On z prochów powstanie do nowego bytu!  
I wieszczów proctwa się ziszczą...

Wszak on to już nieraz w niewoli okrutnej  
Z odwiecznym swym zmagal się wrogiem  
I mimo Bismarków polityki butnej,  
Dał męstwa świadectwo przed Bogiem.

Nam ducha nie złamią gestapowskie  
[katy . . .

Pozornym jest twoje zwycięstwo.  
Ze zgłiszcz powstaje mściciel! jak przed  
[laty

Zakończy się nasze męczeństwo.

Przeklęta Germanio! Z lez sierot i matek  
My całun śmiertelny ci tkamy!  
W tkaninę śmiertelną ze krwi naszych  
[dziatek

Przekleństwo potrójne wplatamy!!!  
Lyczko Józef, Knutange (Mosele).

## Polska w kajdanach.

Polska w kajdanach... Znów naszą ziemię  
Wróg nasz odwieczny, depcze pruskim  
[butem.

Miasta są w gruzach... też chłopskie  
[krkawice...

A naród jęczy pod krzyżackim knutem.

Polska dziś cierpi, jak kiedyś na krzyżu  
Chrystus... by zbawić ludzkości przez swe  
[rany...

W Warszawie, Poznaniu, Krakowie,  
[na Spiszu,

Lud nasz mordują germańskie tyrany!!!

Matko Cudowna, Najświętsza Dziewico!  
Ukróć cierpienia naszych żon i matek.  
Chroń od zagłady, Niebieska Kotwico!  
Tysiące starców i niewinnych dziatek.

Wszak Polska zawsze Tobie wierną była...  
Nawet za rany składamy Ci dzięki,  
Byles spod jarzma Polskę wyzwoliła, —  
Byle skończyły się piekielne męki...

Bóg się zlituje, zginąć nie pozwoli...  
Czas zgoi bóle i straszliwe rany.  
Mężnie przetrwajmy dni ciężkiej niewoli  
Orzeł nasz wolny znów wzleci nad lany.

Lyczko Józef, Knutange (Mosele).

# Tajemnicze sztuczki czarowników murzyńskich.

Przeciętny Europejczyk ma bardzo niedostateczne pojęcie o Afryce i jej mieszkańcach. W murzynach widzi on w najlepszym razie istoty, malujące cywilizację europejską w najśmieszniejszych jej wybujałościach. A przecież dzieją się wśród tych dzikich ludzi nieraz dziwne rzeczy, które każdego myślącego Europejczyka przejmować muszą głębokim zdumieniem. Bliscy przyrody mieszkańcy Afryki posiadają jeszcze wiedzę o rzeczach, które kulturalnemu Europejczykowi wydawałyby się absurdalnymi i nie dowierzania, gdyby ich sam na własne oczy nie był widział. Do nich należą przede wszystkim tajemnicze czyny czarowników murzyńskich. Nie ulega wątpliwości, że ma się tu do czynienia w wielu wypadkach z oszukańczymi sztuczkami żonglerskimi, lecz niektórych z ich „cudów” niepodobna żadną miarą wytłumaczyć tego rodzaju trickami. Stwierdzono szereg wypadków, w których Europejczycy mieli sposobność poznać niesamowitą moc tych czarowników, a między nimi ludzie, którzy z całą powagą naukową zabierali się do zbadania tych zjawisk.

## Murzyni rzucali dzieckiem jak piłką.

Na uwagę zasługują tu przede wszystkim spostrzeżenia pewnego badacza angielskiego, który następnie referował o nich przed gronem ludzi powołanych.

„Pewnego dnia” opowiada ów podróżnik „przyszedłem w czasie swej wyprawy do Kongo do wsi murzyńskiej w chwili kiedy mieszkańcy jej gromadzili się właśnie w półkolu na wolnym placu, oczekując widocznie jakiegoś osobliwego wydarzenia. Dowiedziałem się od murzynów, że wielki czarownik popisywać się będzie swą sztuką. Naczelnik szczepu wskazał mi miejsce, z którego doskonale obserwować mogłem wszystko, co się na placu działo. Przyznać muszę, że to, co wówczas widziałem, pozostało dla mnie zagadką do dnia dzisiejszego.”

„Już sam wstęp widowiska był niezwykle. Kilku olbrzymich murzynów weszło na arenę. Jeden z nich wziął na ręce małą dziewczynkę i rzucił ją swemu sąsiadowi. I teraz rozpoczęła się najoryginalniejsza gra w piłkę, jaką kiedykolwiek widziałem. Murzyni zaczęli rzucać sobie dziecko wkoło coraz szybciej, aż wreszcie ruchy wszystkie stały się tak zawrotnie szybkimi, że wszystko ginęło w moich oczach. Po tym oddech zapierającym widowisku murzyni dziecko posadzili na ziemię, gdzie się dalej bawiło, jak gdyby nic nie było zaszło. Teraz wkroczył czarownik w fantastycznej masce na plac, otoczony gromadą dzieci, które w środku areny wzniosły stos z wiorów i zapaliły go. Czarownik wtedy zaczął rzucać żywymi kurami na płonący stos. Ogień w okamgnieniu zajął patyki klatki, która w oczach naszych spaliła się na popiół, tak, iż nawet wyraźnie czuć było zapach spalonego pierza.”

## Z ogniska wyszedł chłopiec cały i zdrow.

„Następnie czarownik zagasił ogień wodą, po czym ku memu bezgranicznemu zdumieniu zobaczyłem stojącą na popiele nietkniętą klatkę z kurami. Czekaliśmy jednakże jeszcze bardziej tajemnicze niespodzianki.

„Czarownik chwycił chłopca i rzucił go na płonący stos. Krzyk zgromy wydobyl się z piersi wszystkich



Murzyni zabawiają się dziwną grą. W czterech rzędach wyłożonych jest 8 zagłębień. Do zabawy służy 30 możliwie jak najbardziej okrągłych kamyczków. A przepisy gry? Fotograf, który dokonał powyższego zdjęcia, pomimo uważnego przyglądania się, nie zdołał ich zgłębić.

obecnych. Po kilku minutach ten sam chłopiec pojawił się znów z uśmiechem na ustach wśród nas. Ani jeden włos z jego kędzierzawej czupryny nie był spalony.

„Siedziałem zupełnie zafascynowany tym, co się stało. Jeżeli czarownik murzyński był tylko szarlatanem i sztukmistrzem, musiał on w tej dziedzinie posiadać zręczność, wobec której błędna wszystkie triki artystów europejskich”.

Inni podróżnicy, którzy obserwowali czarnego czarownika, opowiadają o nim rzeczy niemniej zdumiewające. Znane są wypadki, w których czarownik wśród tajemniczych zaklęć „zaczarował” swoje nieobecne ofiary, które następnie umierały z powodów zupełnie niewyjaśnionych. Jak dalece działanie hipnotyczne na odległość odgrywa tutaj rolę, nie da się oczywiście stwierdzić, lecz w każdym razie podtrzymują one wiarę w tajemniczą siłę czarowników.

Działalność czarowników obejmu-

je oczywiście jeszcze inne dziedziny. Muszą oni w czasie posuchy przebłagać rozgniewane bogi, lecząc choroby ludzi swego szczepu i wypędzać z nich złe duchy.

## Zawód czarownika jest popłatny.

W wypadkach, gdzie sztuka czarownika zawodzi, wynajdzie on koźła ofiarnego, który ściągnął na szczep gniew złych duchów. Tego nieszczęśliwego składa w ofierze.

Bywa też, że czarownik taki świadcza cenne przysługi wymiarowi sprawiedliwości. Jest rzeczą wiadomą, że liczne zbrodnie dokonywane bywają po naradzie z czarownikiem. W tych wypadkach władze gromadzą materiał przeciwko podejrzanemu czarownikowi i aresztują go. Zrazu zaprzecza on oczywiście wszystkiemu, wobec nagromadzonego materiału atoli poczyna pomalutku wyśpiwywać co wie, nieraz nawet sprawy, o których władze nie miały pojęcia. Gdy już złożył ob-

szerne zeznanie, zostaje zwolniony, a murzyni więcej niż kiedykolwiek wierzą w jego moc, która zwyciężyła białych.

Zawód czarownika jest zresztą bardzo intratny. Za wszystkie przysługi każe on sobie dobrze płacić. Gdy na przykład złodziej wybiera się na jaką wyprawę złodziejską, nabywa u czarownika amulet, któryby go uchronił od ujęcia. Schwytyany złodziej wypiera się wszystkiego, gdyż ma przecież talizman cudowny. Agenci policyjni w tych wypadkach rozbierają delikwenta do naga, który teraz, widząc się pozbawionym talizmanu, przyznaje się do wszystkiego.

## Rozmaitości

### Człowiek porwany przez orła

Nieraz zdarzały się wypadki porwania przez orła w szpony jaśnieńca, lub dziecka, chociaż dotąd nie było na to pewnego świadectwa. Obecnie pewien uczonej amerykański, badający życie ptaków w nowojorskim ogrodzie zoologicznym, ogłosił wyniki swych badań, z których wynika, że orły posiadają zadziwiającą siłę.

Dozorcy zoo wiedzą o tym i mają się na baczności przed szponami tego ptaka. Pewnego razu, dozorca zajęty sprzątaniami klatki orła i całkowicie zaprzęgnięty swoją pracą, otrzymał nagle silne uderzenie w pierś i padł na ziemię. W następnej chwili znalazł się na dachu budynku, w którym znajdowała się klatka orła.

Okazało się, że ptak napadł nań nagle, porwał go w swe szpony i uniósł na stosunkowo dużą wysokość, gdzie porzucił swoją ofiarę i spokojnie powrócił do swej klatki.

### Odszkodowanie za źle wykonany okład.

Sąd w Lewes w Anglii rozpatrywał niedawno, bodaj jedyną w kronikach sądowych sprawę, o odszkodowanie dla 10-letniej dziewczynki pacjentki miejscowego sanatorium, która doznała silnych poparzeń szyi, wskutek zbyt gorącego okładu, zastosowanego przez pielęgniarkę.

Sąd podzielił całkowicie stanowisko rzeczniczki strony poszkodowanej, zasądając na rzecz powoda odszkodowanie w wysokości 300 tów szterlingów.

### Fale ultra krótkie.

Ultra krótkie fale głosowe można obecnie wzmocnić, nadając im siłę wybuchu 10.000 pocisków. Fale, te, jak wiadomo, leżą poza granicami zdolności percepcyjnych ludzkiego ucha. Znamy je choćby ze skrzyknięcia ostrzem po szkło, co przyprawia nas zwykle o „gęsią skórę”. Przy wyższych tonach drgania fal głosowych dochodzą do kilku milionów na sekundę. Tych fal już ucho nasze nie chwyta. Przy wysokich tonach ultra krótkie fale głosowe przechodzą w ciepło i mogą przy dalszym ich zwiększaniu spowodować rozkład komórek.

Próby, przeprowadzone przy pomocy fal dźwiękowych ultra krótkich z żabami, myszami itp. wykazały, że fale takie przy odpowiednim nasileniu posiadają właściwości zabójcze dla organizmu.



Dziecko murzyńskie w koszulce, ofiarowanej mu przez „białych”.

## DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



W sklepie z zabawkami przedświąteczny tydzień był ogromnie ruchliwy. Rodzice, dziadkowie, wujkowie, ciocie kupowali moc prezentów dla grzecznych dzieci.

W wigilię sklep zamknięto wcześniej niż zwykle i wszystkie laleczki, misie, małpki, kotki i pieski zabierały się do snu, gdy w tym rozległo się ciężkie westchnienie i głos.

— Ach, jakie nudy i w dodatku ostatnia nadzieja stracona. Dziś gwiazdka, a ja wciąż jeszcze siedzę w sklepie. — To miś brązowy z wystawy biadał tak smętnie.

Wszystkie zabawki w sklepie poruszyły się i odezwały, jak gdyby te słowa były hasłem do dalszych wyrzekań.

— Misiu kochany nie narzekaj — wołała lalka — przecież ty siedzisz na wystawie, możesz spoglądać na to co się dzieje na ulicy, a nawet widzisz zachwycone miny dzieci zatrzymujących się przed sklepem, a ja nieszczęsna już pół roku leżę w pudełku na półce. Nadeszła zima, marznę w letniej sukience i napróżno marzę o dobrej i troskliwej mamusi.

— Okropna płaksa z ciebie — wy-

## Głosy ptaszące.

Ponoć, gdy północ wydzwonią zegary,  
A po Wigilii świat usypia w ciszy,  
Dzieją się dziwy i dzieją się czary,  
Ale nie widzi ich nikt i nie słyszy.

O najdziwniejszym z czarów tym wam  
[opowiem,  
Który się zdarza w Jezusowe święto:  
Nietylko mówią wtedy aniołowie,  
Lecz głosem ludzkim mówią i zwierzęta.

Koń, wół i owca, osiołek i krowa,  
Ptaszkiwie leśni, nawet rybki w stawie  
Szepczą do siebie z cicha ludzkie słowa  
i noc spędzają na wspólnej zabawie.

Lecz biada temu, kto zechce podsłuchać,  
O czym prowadzą zwierzęta rozmowy!  
Kara spotyka wnet takiego zucha,  
A wymiar kary bardzo jest surowy.

Raz Adasiowi do głowy strzeliło  
W wieczór Wigilii podsłuchać szczygiełka,  
Który dzień cały, ile w gardle siły,  
Ptaszcą mową nad uchem mu ćwierkał.

No, i podsłuchał. Szczygieł szeptał sobie,  
Tak, jak na ucho szepczą czasem ludzie:  
— Czemu ten Adaś brzydkie klekсы robi,  
Książki swe wala i kajety brudzi?

Adaś się wstydził, w duszy przyznaje  
Słuszność małemu w klatce szczygiełkowi  
Strach się w nim budzi: ach, co będzie  
[dalej,  
Wszak ptaka ludzkiej podsłuchał on.  
[mowy!

I nagle: co to? Coś nań lekko spada —  
Adaś jest więźniem w wielkiej z drutów  
[klatce!  
Czy się uwolni? Czy jest na to rada?  
Jak wytłumaczyć ojcu to i matce?

Ćwir! ćwir! — tak Adaś będzie mówił  
[teraz,  
Nikt mowy jego odtąd nie zrozumie —  
Ć w i r r r! Niechże klatkę ktoś biegnie  
[otwierać!  
Prosić po ludzku Adaś już nie umie.

To było karą. A co było potem,  
Napewno sami łatwo odgadniecie...  
...Adaś się zbudził, zły zimnym potem,  
I mówi znowu tak, jak wszystkie dzieci...

Ale wspomnienie w duszy pozostało  
Dziwów i czarów wroc Wigilii Bożej —  
I, kiedy ciepłem na wiosnę powiało,  
Klatkę małemu szczygiełkowi otworzył...  
Z. Rabska.

## W sklepie z zabawkami

śmiewały się mapki, kołyszące się na huśtawce.

— Głuptasy jesteście — zgromił ją trębacz w ślicznym kolorowym mundurze — my zawsze tęsknimy do towarzystwa dzieci i marzymy o tym, ażeby znaleźć się w ich rękach i sprawić im radość. Ileż to bitew mógłbym dotąd wygrać, maszerując razem z ołowianym wojskiem! I pełen wojennego zapału zaczął wygrywać na swej śniącej trąbce. Na głos pobudki, jak na zakłęcie porwali się wszyscy ołowiani żołnierze, wołając:

— Dość już utyskiwań, dość czekanania, wstawajcie lalki i wszystkie zwierzęta! Musimy działać, radźmy, jak wydostać się stąd do dzieci.

Na to wezwanie nieopisany zgiełk powstał w sklepie.

Z pudełek wyskakiwały łowiczanki, krakowianki — Zosie, Małgosie. Ześlizgiwały się z półek i ustawały grzecznie parami pośrodku sklepu.

Naguski, niemowlęta usiłowały biec za nimi na swych krótkich, krzywych nóżkach. Konie na biegunach rżały z zadowolenia, a misie, pieski, kotki skakały z pieskiem z wystaw, i nawet małpki pomyślały, że może im się znudzić huśtawka i



Ciekawa siostrzyczka i braciszek zaglądają do pokoju, aby zobaczyć, czy choinka już ubrana.

hops... fiknęły w gromadę lalek, robiąc ogromne zamieszanie.

A właśnie lalki szykowały się przezornie do drogi. Pożyczały sobie szaliki i żakiety, a te, które nie miały zupełnie ciepłych ubrań, owijały się poprostu w koce i kołderki wyciągnięte z łóżeczek i wózków stojących wzdłuż lady.

Łowiczanka, która marzyła o tym, aby być lalczyną nianią, zapakowała wszystkie niemowlęta do największego wózka i okryła ciepło.

Zwierzątka nie troszczyły się o ubranie, przecież miały ciepłe futerka.

Tymczasem ołowiani żołnierze radzili, co robić dalej.

— Fiuuu — gwizdała lokomotywa, — jedźcie wszyscy koleją, nudzę się śmiertelnie, mogłabym już cały świat objechać ze trzy razy dookoła, gdyby nie trzymano mnie w sklepie tyle miesięcy.

— Najlepiej wybić szyby i wyskoczyć oknem — radziły zawsze lekomyślnie małpki.

— Cicho głuptaski — strofowały je inne zwierzęta — przecież musimy wyjść niespostrzeżenie.

— Zaczekam, może kto usłyszy i otworzy — medytował biały kudłaty pudel.

— Och, pocóż tyle namysłów — dowodziła boża krówka — przecież możemy wyjść dziurką od klucza.

— Ha! ha! ha! — śmiały się lalki — tylko ty jesteś taka maleńka.

Radzili wszyscy, radzili i nic nie mogli wymyślić

— Niech się słonie martwią — próbowały żartować misie.

— Co ował się gruby głos — kto tu o mnie wspomina?

— O! o! o! — rozległ się powszechny krzyk, bo oto z najciemniejszego kąta wysunął się zaspany słoń i machnął trąbą na powitanie.

— Misie miały słuszność, ja wam poradzę. Stoję zawsze koło tych oto drzwi i widzę, że tędy nieraz wnoszą paczki z zabawkami. Drzwi te prowadzą na schody, wiodące do mieszkań dzieci. Dosięgnę trąbką i do klucza i do klamki, o patrzcie, trach, trach... i droga otwarta.

— Fiuuu — gwizdnęła lokomotywa, konie, a za końmi w podrygach, susach, skokach wszystkie zwierzęta.

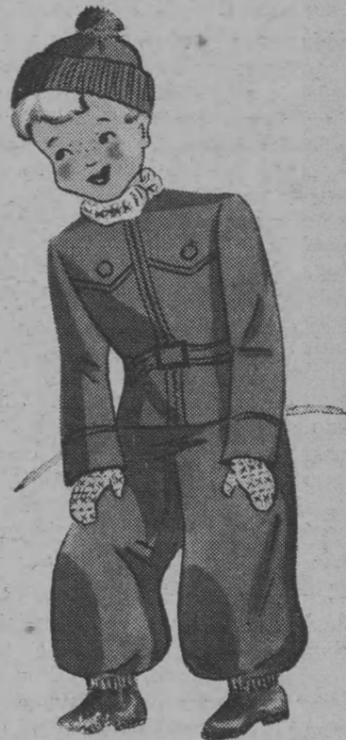
Później, przy dźwiękach trąbki



wymaszerowali ołowiani żołnierze, a dopiero na końcu pochodu parami, grzecznie i przykładowo sunęły laleczki z wózkiem pełnym niemowląt.

Nawet piłki nie wytrzymały i po wa i jak szalona wyjechała ze sklepu. Za nią bez namysłu cwałem ruczoły się w podskokach.

Cicho i pusto zrobiło się w sklepie, tylko duży zegar gadał monotonnie swoje — tik-tak, tik-tak poszli, poszli... chyba dotrą do dzieci.  
J. W.



Gdy w takim kostiumie Józio wyjdzie na ślizgawkę, napewno nie zmarznie.

## W tę noc Narodzenia...

W tę noc Narodzenia każde stworzenie rozumie człowieczą mowę. Kto bezgrzeszny temu i odpowiada. Próbowali, czy to prawda Witek i Józka, a opisał to wielki pisarz Reymont:

...Witek, głęboko tknięty słowami, że w noc tę krowy mowę ludzką mają, wywołał po cichu Józkę i poszli do obory.

Trzymając się za ręce i dygocąc ze strachu, a żegnając się raz po raz, wsunęli się do obory, pomiędzy krowy.

Przykleknęli przy największej, jakby przy matce całej obory. Tchu im brakowało, dusze się trzęsły, lzy nabiegały do oczu, serca przenikał strach święty, jakoby w kościele podczas Podniesienia, ale ufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąco:

— Siwula! Siwula!

Nie odrzekła ni słowem jednym, postękiwała ino, żuła, ruchała gę-

bulą, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może za karę.

Przyklekli przy drugiej, i znowu Witek zapytał, ale z płaczem prawie:

— Laciata! Laciata!

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamartwym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grześniśmy pewnie, to nie usłyszymy, ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

— Prawda, Józka, prawda, grzeszne my, grzeszne, mój Jezus... prawda... juści, wziąłem gospodarzowi postroneczki..., a i ten rzeźmień stary... a i te... — nie mógł mówiącej, płacz go chwycił, żal i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała, i tak płakali spolem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przewiny swoje — a grzechy wszystkie...

## Choinka.

Zabawkami obwieszona  
choinka świerkowa,  
Stoi dumnie pośród dzieci  
Na gałązkach wiszą cacka,  
cukrowe laleczki,  
Bombonierki i pierniczki,  
kolorowe świeczki...  
Na przedzie Mikołaj święty  
od śniegu się bieli.  
Podtrzymują go, staruszka,  
skrzydlaci anieli.  
Z boku pajac z dzwoneczkami  
zabawnie się kinca,  
Obok niego wielka lalka  
patrzy się jak żywa.  
Kominiarczyk na wstążeczce  
z miotłą i drabinką  
Cały czarny straszy wszystkich  
zasmoloną minką.  
A na samym szczyście drzewka  
gwiazdeczka się świeci,  
I raduje swoim blaskiem  
serca małych dzieci,  
Bo ta gwiazdka jest zwiastunką  
cudu nad cudami,  
że się Chrystus dziś narodził  
i przeżywa z nami.  
R. P.

## Dowcipy wojskowe.

Podczas wykładu oficer spostrze- ga, że trzech młodzi żołnierze myśla- mi są daleko. Przerwywając nagle swe objaśnienia, niespodziewanie za- pytuje ich:

— Powiedźcie mi kolejno, jaki jest najszybszy sposób przesłania wiadomości? Prędko...

Pierwszy: — Prztelegrafowanie jej.

Drugi: — Prztelefonowanie jej.

Trzeci: — Powierzenie jej kobie- cie...

Dialog między młodym żołnierzem a jego sierżantem.

Żołnierz: — Czy można zostać u- karanym za coś, czego się nie zrobi- ło?

Sierżant: — Naturalnie, że nie.

Żołnierz: — To dobrze. Ja nie wy- czyściłem mojego karabinu.

Jeszcze jedna historyjka o Szko- tach.

Żołnierz Mac Nab chciał ożenić się przed odjazdem na front; czy jed- nak narzeczona będzie tą oszczędną niewiastą, o jakiej marzył?

— Maggie, rzecze do niej pewne- go wierzora, znam pewną dziewczyn- ę, która wieczorem, przed zaśnię- ciem, czyta godzinami i przepala ma- sę elektryczności. Czy ty także czy- tujesz w łóżku?

— Naturalnie, odpowiada Maggie, ale tylko wtedy, gdy księżyc jasno świeci.

W następnym tygodniu Mac Nab i Maggie pobrali się.

Żołnierz, który spędził 15 dni w komfortowym szpitalu, wkrótce miał go opuścić, lecz powrót do puł- ku tak mało mu się uśmiechał, że postanowił „wymigać się” i pozostać w szpitalu dalsze 15 dni. W czasie mierzenia temperatury przeto, wy- korzystał chwilę, w której pielę- gniarka stała odwrócona do niego plecami, by silnie pocierać termometr na rękawie koszuli. Jakież by- ło jego zdziwienie, gdy w kwadrans później usłyszał, że ma opuścić szpi- tal jeszcze tego samego wieczora.

— Ależ, proszę pani, rzekł do pie- legniarki, przecież temperatura mo- ja dzisiaj podskoczyła?

— A tak, przyjacielu. — brzmia- ła odpowiedź. Podskoczyła tak da- lece, że logicznie biorąc, jesteście trupem. Dlatego też zostaniecie usu- nięci ze szpitala.

Członek obrony przeciwlotniczej, pasywnej, w ciemnościach stracił nieco orientancję, ale nie orientację zawodową. Widząc w jednym z o- kien światło, skierował się ku do- mowi, zapukał i rzekł do osoby, któ- ra otworzyła drzwi:

— Za dużo światła na pierwszym piętrze, proszę pani. Trzeba je zga- sić.

Jakież było jego zdumienie, kiedy w odpowiedzi usłyszał:

— No, to idź i zagaś czempredzej kiedy nie uczyniłeś tego wychodząc. Była to jego żona.

Żołnierz, odczuwający „piekiel- ne” pragnienie, ale „goły, jak świę- ty turecki”, wchodzi do kawiarni w momencie, gdy jednemu z klientów kelner podaje pierwszorzędny aperetyw.

— Czy założy się pan ze mną o jednego franka, że wypróżnię kieliszek, tak, że pan tego nie zauważy? — zaproponował klientowi.

— Niech będzie.

I żołnierz jednym haustem opró- żnił kielich.

— A to co, protestuje ofiara. Przecież ja dokładnie widziałem, jak pan piłeś mój aperetyw.

— Tak jest, godzi się drugi. Przegrałem. Proszę oto frank.

Był to ostatni, jaki żołnierz miał w kieszeni.



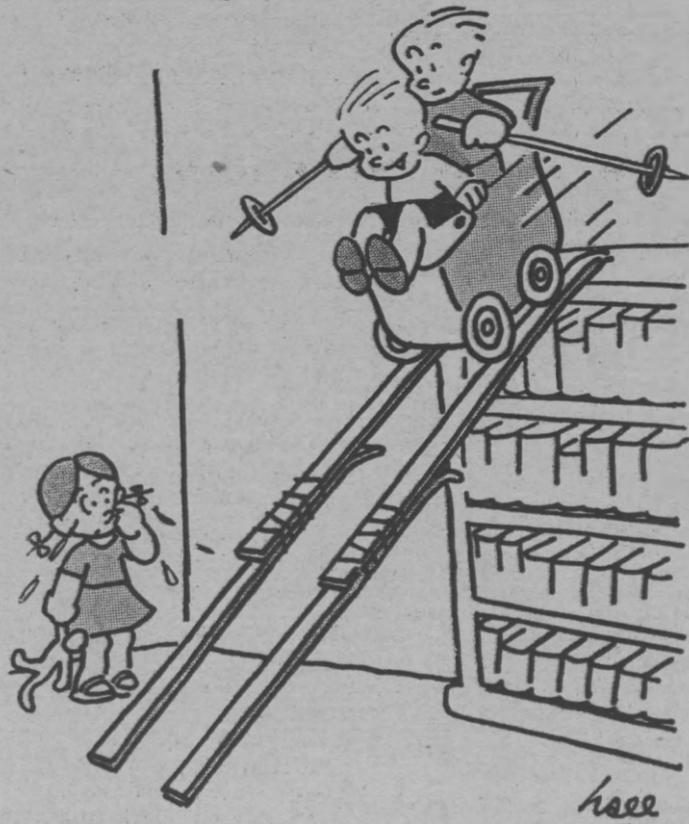
Jeszcze ma mało.

— Tatusiu, gdzie jest niespodzianka, o której mówiłeś?



Szczęśliwi...

Noc wigilijna w rodzinie Pieniążków.



Pomysłowi.

Gdy niema śniegu, można i w pokoju uprawiać sporty zimowe.

## Pechowy instrument.

W małym belgijskim miasteczku Dinant w r. 1814 urodził się Adolf Sax, którego niemal od kolebki przeladowało niepowodzenie. Bo Adolf syn konstruktora instrumentów muzycznych, postanowił zbudować niez- nany jeszcze instrument o ludzkim głosie.

Ale nie tylko dlatego nazywano go „pechowcem”, że przez długi czas nie udawało mu się zbudować nic odpowiedniego, że bez powodze- nia starał się ulepszać klarnet i in- ne instrumenty. Od wczesnej mło- doci imaly się go rozmaite nie- szczęścia.

Przez omyłkę napił się rozcień- czonego wotriolu. To znowu połknął gwóźdź. Złamał nogę. Nic mu się nigdy nie udawało. Nigdy nie miał powodzenia. Aż dopiero w roku 1838 a więc sto lat temu, skonstruował wreszcie ów przedziwny instrument, naśladujący śmiech i płacz ludzki, zwany obecnie saksofonem od imie- nia jego wynalazcy.

— Skończone moje niepowodze- nie — myślał Adolf Sax.

Niestety, napróżno.

Wyśmiano młodego wynalazcę. Skrytykowano go bezlitośnie. Niko- mu nie podobał się ten dziwny instrument. Uważano, że hańbi swo- ich poważnych „kolegów”. I kto wie, czy saksofon nie pogrzebałoby ludz- kie zapomnienie, gdyby nie Berlioz.

Berlioz pierwszy zainteresował się saksofonem. Uważał, że zasługuje na taki sam szacunek, jak inne in- strumety i nawet skomponował utwór muzyczny, w którym pogardza- ny saksofon odegrał główną rolę.

Odtąd nastąpiły krótkie dni try- umfu Adolfa Saxa i jego instrumen- tu. Saksofon włączono do francu- skich orkiestr wojskowych. Sakso- fon był przedmiotem podziwu i u- znania na wystawie światowej w Paryżu w r. 1844 i na wystawie w Londynie w r. 1851.

Adolf Sax odetchnął. Chodził te- raz z podniesioną głową. Ale wkrót- ce zaczęto znowu zeń szydzić.

W pismach niemieckich pojawiły się karykatury wynalazcy i jego in- strumetu. Przedstawiono sakso- fon w formie olbrzymiego lejka z sześciu rurami, w które dmucha sześciu olbrzymów o olbrzymich plu- czech.

Belg złościł się i płakał. Nikt je- dnak mu nie współczuł. Nawet naj- bliższa rodzina...

Niebawem jednak odwróciła się karta życia Saxa. Mianowano go profesorem konserwatorium w Paryżu, udekorowano Legią Honorową naj- więksi muzycy wprowadzili sakso- fon do swoich kompozycji.

Adolf Sax przestał uważać się za „pechowca”. Nie żałował już cięż- kich chwil, jakie sprowadził nań je- go instrument. Triumf upoił go. Za- łożył nawet fabrykę saksofonów, przekonany o trwałości swojego wy- nalezku.

Zapomniał jednakże, że instru- menty muzyczne podlegają rów- nież modzie. U schyłku XIX w. sak- sofon stał się niemodny. I fabryka, prosperująca dotąd znakomicie, za- częła chylić się ku upadkowi.

Dopiero w r. 1920—1923 sakso- fon wrócił do łaski wraz z jazzem. Jednakże uważany był za instrument „drugorzędny”, bo ludzkość zdążyła już zapomnieć o Belgu i myślnano, że saksofon jest pochodzenia murzyń- skiego.

Nie pomogły dowodzenia syna zmarłego już Adolfa Saxa. Sakso- fon utożsamiono z jazzem. Toteż po krótkim okresie powodzenia sakso- fon znowu stał się niemodny.

Dopiero obecnie...

Saksofon zbudowany przez „pe- chowca” wrócił znowu do łaski i za- jął stałe miejsce w wielkich orkie- strach symfonicznych. Syn Adolfa Saxa spodziewa się, że „pech” ojco- wski jego chyba opuścił.

# Echa wojenne...



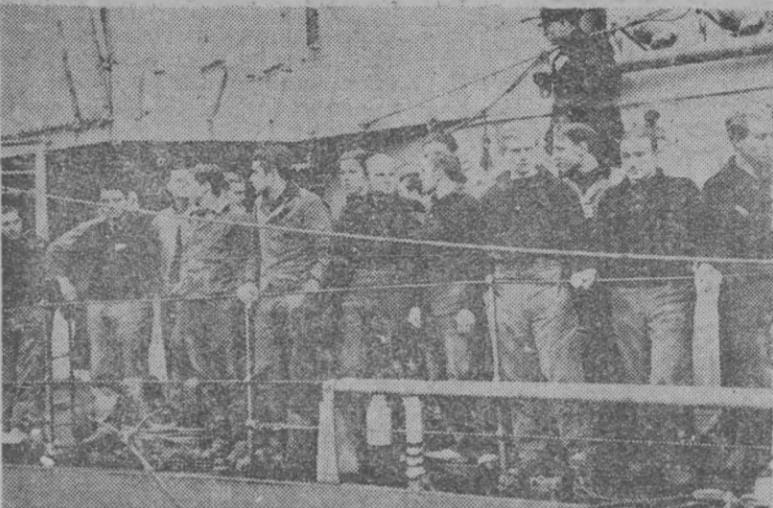
## Jeszcze jedna manifestacja angielsko - francuskiego sojuszu broni.

Król angielski Jerzy VI. w ciągu kilku dni bawił we Francji, zwiedzając odcinki wojsk Wielkiej - Brytanii na terenie francuskim. Podczas inspekcji nastąpiło spotkanie króla (na zdjęciu z lewej), z prezydentem Lebrun (w środku) i premierem Daladier (z prawej).



## Dziennikarze niemieccy w siedzibie Ligi Narodów.

Na posiedzenie Ligi Narodów, zwołane na apel Finlandii, z powodu zaatakowania jej przez Sowiety, Niemcy hitlerowskie wysłały licznych dziennikarzy, których zadaniem było urabianie opinii na rzecz Niemiec oraz ich moskiewskiego sojusznika. Wysiłki ich okazały się daremne. Sowiety zostały wykluczone z Ligi Narodów. Wyrok ten dotyka również Niemcy, które wobec Polski zawiniły w podobny sposób, jak Rosja wobec Finlandii.

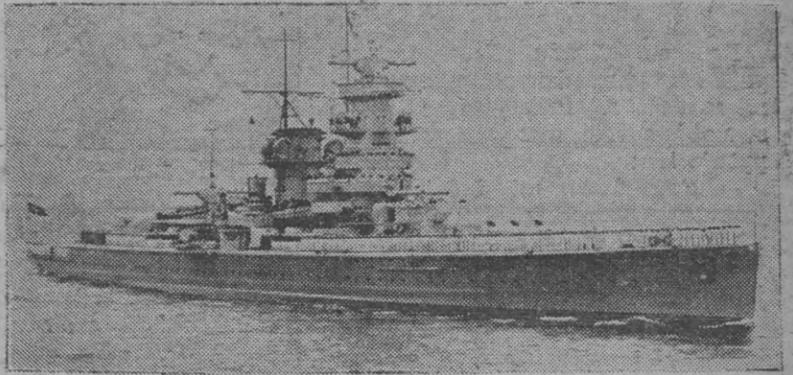


## W niewoli angielskiej.

Torpedowiec, który wziął do niewoli załogę niemieckiej łodzi podwodnej, przybył do portu w północnej Anglii. Więźniowie zdają się być bardzo zaciekawieni nowym otoczeniem.

## W ucieczce przed bombami sowieckimi.

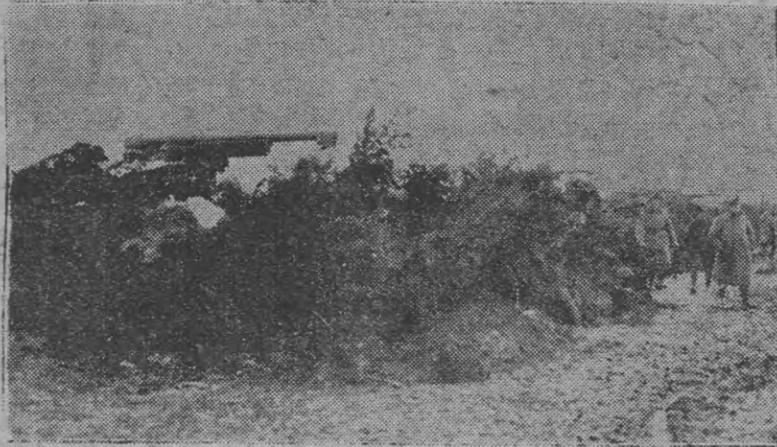
Młoda kobieta, siedząc obok przygotowanych bagaży, czeka na wywiezienie z Helsinek, bombardowanych przez samoloty moskiewskie.



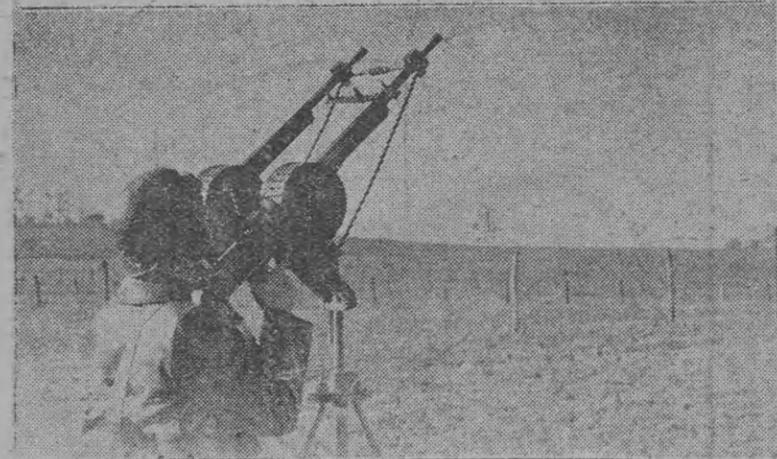
## Niechwalebny koniec niemieckiego pancernika „Admiral Graf von Spee”

Dumny pancernik niemiecki, nazwany nazwiskiem admirała hrabiego von Spee, który w czasie wojny światowej poszedł na dno wraz z pokonanym okrętem, zakończył swoje istnienie w sposób bardzo niechwalebny. Z rozkazu Führera, dowództwo jego spowodowało eksplozję, która statek, silnie uszkodzony przez angielskie okręty wojenne, rozerwała na części. Pancernik zatonął w pobliżu wybrzeża Urugwaju, unikając w ten sposób ostatecznej rozprawy z okrętami Państw Sprzymierzonych. Tchórzliwy jego koniec marynarce hitlerowskiej nie przynosi zaszczytu. — Na zdjęciu: pancernik „Admiral Graf von Spee.”

## OBRAZKI Z FRONTU.



Bateria artylerii ciężkiej na pozycji.



Podwójny karabin maszynowy, przeciwlótniczy, gotowy do strzału.

## Poza frontem wre praca.



Pionierzy wracają do swoich koszar.



## Braterski uścisk dłoni.

Dwa okręty, francuski i angielski, spotkawszy się, zarzuciły kotwice obok siebie. Uradowani marynarze zamienili przy tej okazji serdeczne uściski dłoni.



## Pocałunek Prezydenta.

Prezydent Lebrun schylił się, by pocałować uczenicę Szkoły Legii Honorowej, która przybyła do Pałacu Elizejskiego z znaczkami przeciwtuberkulicznymi.

